№ 43. Warszawa, dnia 24 (12) Października 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: **Zielna Nr. 7-a.**

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

MIMOWOLNY HUMOR.

Najgroźniejszą minę wobec unii bułgarskiej przybrała od najpierwszej chwili Serbia. Jej gazety odrazu zaprotestowały przeciwko faktowi, a więksi i mniejsi przedstawiciele jej rządu, w kraju i zagranicą, uroczyście zapewniali, że mocarze belgradzcy „nie pozwolą" na naruszenie równowagi półwyspu Bałkańskiego lub też zażądają odpowiedniego wynagrodzenia terytoryalnego. Cała ta bufonada jeżeli nawet komuś nie wydawała się wstrętną, każdemu wydawała się śmieszną. Wstrętną była tem, że wyrażała bezwstydny zamiar utrzymania w rozdarciu narodu pobratymczego, śmieszną tem, że drobny, niespełna dwumilionowy ludek małpował potęgę i gniew wielkiego mocarstwa. W polityce, która może prawo zgwałcić siłą, zdarzają się nieraz dzikie pretensye, podniesione do godności zasad słusznych; ale w życiu gromadek drobnych taka sofistyka polityczna jest zjawiskiem wyjątkowem. Bo pomyślmy tylko: Serbia nie uznaje zjednoczenia Bułgaryi *dlatego*, że ta ostatnia liczyć będzie o milion głów więcej — czy podobna wyobrazić sobie coś zabawniejszego? Temu mimowolnemu humorowi nie służy nawet za obronę chęć wyswobodzenia „uciśnionych braci," gdyż w połączonej Bułgaryi żyje garsteczka serbów tak mała, że w statystyce bywa zupełnie pomijana. Turcy, grecy, cyganie, żydzi mają tam więcej swojego nasienia. Ajaksom zatem belgradzkim szło przedewszystkiem o „naruszoną równowagę."

Z początku wyrzucali oni ze swych ust „Starą Serbię," jako „wynagrodzenie." Owa „Stara Serbia," która przez kilka tygodni wycierała kąty wszystkich dzienników, jest mgławicą dość nieokreśloną. Jedni rozumieją pod tą nazwą państwo St. Duszana, obejmujące (w połowie XIV w.) nietylko właściwą Serbię, lecz także Bułgaryę, Macedonię, północną Grecyę i Albanię. Umiarkowańsi trzymają się kresów etnologicznych, w których żywioł serbski przeważa. Potrącając skrawki, do Austryi przez traktat berliński przyczepione, „Stara Serbia" po za granicami królestwa Milanowego zawiera się w wilajecie tureckim Kossowo, tj. w części Macedonii i Albanii. Wszyscy podróżnicy (innych źródeł brak) i korespondenci zaświadczają zgodnie, że położenie ludności chrześciańskiej pod panowaniem tureckiem jest tam bardzo ciężkie: muzułmanie albo ją obdzierają, albo w okręgach mniej ustronnych denuncyują. Niedawno wysłano stamtąd do Azyi Mniejszej 300 „przestępców politycznych" na wieczyste osiedlenie.

Jak widzimy, Serbii nie brakło ani „braci," ani uciśnionych, których krzywdy mogłyby usprawiedliwić sięgnięcie po zdobycz bez powoływania się na „równowagę." I rzeczywiście, pierwotnie „Stara Serbia" grała w groźbach belgradzkich pewną rolę. Ale od niejakiego czasu ustąpiła ona zupełnie miejsca „równowadze," którą chce przywrócić, czy też przywraca już król Milan. Jednego dnia telegraf doniósł, że wojsko serbskie przekroczyło granicę bułgarską, drugiego, że jeszcze stoi nad nią i rozmyśla. Właściwie ani ta armia, ani jej hetmani nie wiedzą, co mają zrobić. Król Milan wpadł w samotrzask, z którego wyleźć nie może — bez potrzeby, bez wyraźnego celu, bez porozumienia się z rządcami Europy, uruchomił armię. W pierwszej chwili zamierzał on niewątpliwie uszczknąć coś ze „Starej Serbii;" gdy mu wszakże wytłomaczono, że ruch bułgarski musi być umiejscowionym, że nowy zamach dałby hasło do dalszych buntów i ostatecznego rozpadnięcia się Turcyi europejskiej, którego „mocarstwa jeszcze sobie nie życzą," że Grecya wystąpiłaby również z pretensyami — nie wie, co ma zrobić ze swoją „uruchomioną armią," która właściwie pozbawioną została — nieprzyjaciela. Uruchomienie armii jest rozrywką zbyt drogą, ażeby ubogi skarbczyk serbski mógł jej sobie pozwolić; jako zaś przedsięwzięcie polityczne chybione podminowywa słabo oparty tron, pod który zwolennicy Karagieorgiewicza głęboko się już podkopali. W tych opałach król Milan, poszukując jakiegokolwiek nieprzyjaciela, stanął przed progiem bułgarskim i chce go przestąpić. Liczy on na to, że mocarstwa nie uznają faktu dokonanego w Bułgaryi i zechcą wskrzesić stosunki poprzednie, a on odegra przytem rolę sojusznika i kolegi. Jeżeli Rumelia pozostanie znowu przy Turcyi, dzielny Milan powie swemu narodowi: przywróciłem równowagę — a nie dostałem nic, bo nikt nie dostał. I „uruchomienie armii" będzie miało swój cel — bardzo poważny. Bo czyż to nie chwała dla belgradzkich Ajaksów, że oni „przywrócili równowagę" — i to „w porozumieniu z mocarstwami!" Nawet brzmi to ładnie!

Ale przestałoby to ładnie brzmieć zaraz przy pierwszym terminie płacenia rat długu Länderbankowi. Wrogowie obecnego króla i jego rządu umieją rachować, więc obliczyli, że zbrojny spacer do Bułgaryi zrujnowałby finanse kraju. To też groźny Milan, udający Cezara nad Rubikonem, żywi tajemną nadzieję, że litościwi twórcy traktatu berlińskiego do chwały „przywrócenia równowagi" dorzucą mu jakiś, bodaj chudy kąsek, wykrajany z ciała Bułgaryi. Będzie to zarobek „słowiański."

Serbia miała dwa logiczne i uczciwe wskazania: albo siedzieć cicho, albo, uzbroiwszy się, zająć Starą Serbię. Na spokój zbrakło jej rozumu, na walkę — odwagi. Skutkiem tego znalazła się w dziwnem i śmiesznem położeniu, z którego nie wyj-

dzie bez strat bądź materyalnych, bądź moralnych. Właściwie dziś żebrze ona litości u mocarstw, które zadają sobie pytanie: czy siłą jakiegoś podarku utrzymać Milana na tronie, czy też go poświęcić na pastwę niechybnej rewolucyi? Dla jednych jest on wygodny, dla drugich — nie, owo zatem miłosierdzie przedstawia się w różnych stopniach. Tak np. Austrya, która niedługo już schowa do swej kieszeni całą Serbię, pragnęłaby go ocalić. Czyj zaś głos przeważy, z chaosu najsprzeczniejszych doniesień wróżyć trudno. Ale jakikolwiek będzie wynik tej splątanej sprawy, Serbia nie wyniesie z niej godności, a nawet zbierze obfity plon mimowolnego humoru.

„MŁODY KONSERWATYZM.“

Czytelników gazet politycznych z pewnością zastanawiały nieraz dziwne zjawiska w łonie konserwatyzmu europejskiego: lordowie, możnowładcy, folbluty arystokracyi, wreszcie ministrowie zachowawczych gabinetów wyszywają na małych krosienkach rewolucyjne godła, wypowiadając posłuszeństwo tradycyi. Oto w Anglii występuje lord Churchill, który dowodzi swym błękitno-krwistym towarzyszom, że są mumiami, niezdolnemi odczuć nowych prądów, że powinni częściowo uprawnić a całkowicie opanować ruch nurtujący społeczeństwo od dołu, wyrestaurować według współczesnych wymagań swój przestarzały Olimp i odzyskać utracony wpływ na masy. Oto we Francyi pretendenci do tronu przesyłają całusy i umizgi do radykalnych trybunów ludu i obiecują zaprzysiądz bardzo demokratyczne „pacta conventa.“ Oto w Niemczech wszechwładny kanclerz urzeczywistnia ideały rewolucyonisty Lassalle'a i przyjmuje za ekonoma swej czeladzi „katedrowego socyalistę“ A. Wagnera. Wszędzie uderza nas dziwny widok: konserwatyzm burzy, przerabia, restauruje budowę społeczną. O wyznawcach teoryi nieboszczyka Chamborda, który do śmierci pozostał wiernym nawet dawnej ortografii swego tytułu i nie chciał królestwa za drobną zmianę w swym herbie — ani słychać. Żyją oni, noszą dumnie głowy, używają olbrzymich dochodów, grają w karty, należą do towarzystw dobroczynnych i utrzymują piękne kobiety— ale nie zajmują pierwszego planu życia publicznego, stoją na uboczu. To są inwalidzi — po buławy hetmańskie sięga „konserwatyzm młody.“ Co za jeden i czego chce ten „młody“ dziadek?

Wszystkie potęgi świata, z natury swojej najbardziej zachowawcze, usiłowały zawładnąć każdym prądem rewolucyjnym, ile razy spostrzegły, że go tamami nie powstrzymają. Nawet instytucya najmniej zmianom i rozwojowi podległa, stolica apostolska puszczała bystre potoki na swe koła. Zręczniejsi też konserwatyści, widząc, że z głębin społecznych dobywa się gwałtowny nurt, który całą mocą uderza na wrogie im kapitalistyczne mieszczaństwo i liberalizm, postanowiło ułaskawić dziką bestyę i zaprządz ją do swego rydwanu. Drogę tę wskazał i utorował człowiek śmiały i potężny — ks. Bismark. Przenikliwy i zazdrosny zrozumiał on szybko, że płynącej z nizin społecznych lawy żadnem stawidłem nie wstrzyma, że inni użyją jej ku celom rewolucyjnym, że on może ją wyzyskać dla własnych — i agitatorów socyalistycznych skrępował prawami wyjątkowemi lub osadził w kozie, a sam został mesyaszem socyalizmu „chrześciańsko-zachowawczego.“ Manewr bardzo dowcipny. Głodne, ubogie, pracujące i wydziedziczone masy domagają się praw i chleba — po co mają te dobra otrzymać z rąk rewolucyonistów w nadmiarze, kiedy mogą dostać z rąk konserwatystów w umiarkowanej wadze? Tacy szafarze i ustroju państwowego nie naruszą, i stanowisko swoje podniosą. Arystokracya europejska pochyliła się jak spróchniała wierzba, na którą kozy mieszczańskie wskakiwały — trzeba ją wyprostować, oczyścić, zasilić świeżymi sokami, od których puści młode pędy i okryje się zielenią. Skoro zaś wilki chcą wydusić te kozy — należy zawrzeć z nimi przymierze, przynęcić do łańcucha i ułożyć do strzeżenia wielkopańskich folwarków. Takie zadanie podjął właśnie „młody konserwatyzm.“ Nie wyrzeka on się ani szczerze i obłudnie wyznawanej religii, ani przywilejów, ani pychy rodowej, ani wiary w świętość stosunków własności, ale chce usunąć krzywdy zbyt krzyczące, gwałty zbyt brutalne, niesprawiedliwości zbyt jaskrawe, a przytem uprzytomnić zbuntowanym masom, że sprawcą ich nieszczęść jest samolubny kapitalizm mieszczański. Strategia ta doskonale występuje w działaniach człowieka, który swym wpływem najszersze ogarnia koło, władzą najdalej i najgłębiej sięga, a energią i konsekwencyą najśmielej walczy — w polityce wewnętrznej ks. Bismarka. Jego, dotąd w zarodku, naśladowca angielski, lord Churchill wyraźnie przyznał się do swego wzoru. Mistrz i uczeń pragną wyprowadzić konserwatyzm ze stanu martwoty, pasożytniczego próżniactwa, odrażającej nienawiści do wszelkiego postępu, pragną, jak dawniej, postawić go na czele ludu przeciw mieszczaństwu, które — przyznać to trzeba — oślepło w samolubstwie i na własne niebezpieczeństwa i na cudze krzywdy. Broni się ono tylko sofistyką liberalizmu i surowością praw istniejących, ale o ustępstwach szczerze nie myśli.

Niewątpliwie jesteśmy narodem cywilizowanym i odczuwamy drgnienia ogólnego rozwoju, ale także jesteśmy, zwłaszcza w górnych warstwach, społeczeństwem do wszelkich naśladownictw skłonnem. Pewne więc okazy „młodego konserwatyzmu“ pojawiły się i u nas, a swojskie jastrząbki stroją się w jego piórka tak bezwiednie, że jednocześnie drapią orła,

SZKICE WIEJSKIE.

VIII.

Dziad kościelny.

Kiedy „mały Antosiek“ został zakrystyanem w naszej parafii, miał zaledwie trzydzieści lat i wszyscy nie mogli się nadziwić, że taki młody chłop nie wstydzi się być dziadem. Zgadywali niektórzy, że to pewno pokuta: przeskrobał coś za młodu! Inni, przeciwnie, chwalili, że dziadostwo— to wcale dobry kawałek chleba, wcale nie pokuta. Że dobry, a nawet smaczny, przekonali się najbliżsi sąsiedzi dziadów, najpierw sama dziadowa. Z początku rozpaczała i płakała. Oswoiła się jednak. Narzekała tylko:

— W tej naszej parafii, to taki głupi naród: w innych nazywają „kościelnego“ zakrystyanem, a tu nikt; każdy mówi: dziad, dziadowa, dziadówna.

Wkrótce i to przestało Antośkowę razić, przyzwyczaiła się. Przyzwyczajenie zaś było łatwe przy dostatku wszystkiego, w jakim zaczęła opływać.

Znosili, zwozili dziadowi; znosił i zwoził sam dziad. Baba jadła, co się zjeść dało; chowała, co było do schowania. O, używała! Była, jako ci ptakowie, co nie orzą, nie sieją, a przecież zbierają.

Ile tam lnu było na poddaszu, kawałków płótna, ziarna wszelkiego rodzaju! Kury na podwórku, prosięta w chlewku—wszystko darowizna.

— Nie znam — powiadał Antosiek — co to „kupać“ za gotowy grosz, wszystkiego mi dostawi parafia.

A baba jadła — kiełbasy, wieprzowinę, nadewszystko jajecznicę. Kobiety we wsi oblizywały się, wspominając tę jajecznicę. Bywają tam całowe szperki, co prawda, z ich własnej okrasy, ale to smaku nie ujmuje, a dziadowa tak umiejętnie smaży jajecznicę! Kupiła wyłącznie na ten cel dużą rynkę, niezwykłą, która nie próżnuje „świątek i piątek.“ Tylko że w „świątek,“ oprócz rodziny dziadów, zasiadała do niej pewna ilość zaproszonych bab. Oblizują się jedząc, oblizują się wspominając. Dziad chodząc po kolędzie, święceniu i w różnych innych dniach, zbiera kosze jaj. Antośkowa chwali się, że ani jednego nie sprzeda.

— Tyle tylko, że parę kur nasadzę, reszta na jajecznicę. Zestarzeją się, to każda kuma odmieni.

Niektórzy w parafii mruczą, że na używanie dziadów składają się, ale zaraz znajdują pociechę:

— Zaśby chtórny kościelnik nie był chciwy.

Dziad zaś bierze, co może, prosi i przychwala sobie, że mu jest dobrze.

— Moja parafia niestraszna, trzy tysiące dusz, a nie mieniałbym się na inne.

Przechodzi kolejno myślą wszystkie sobie znajome i żadna nie przypada mu do gustu. W kozickiej np. pięć tysięcy dusz, „same włościany“ i szlachta, ale cóż z tego, kiedy jest dwóch dziadów. A on by się nigdy nie zgodził z drugim.

— Jabym chciał tak, on siak.

Rzeczywiście dziad jest samowolny, nie przyjmuje niczyjej pomocy; czasem tylko, w przystępie najlepszego humoru, pozwalał jednemu z „brastewnych,“ Józwowi, odsłaniać i zasłaniać obraz w wielkim ołtarzu, w dni zaś uroczyste rozdawać babom świece. Ale i z tej pomocy nie jest zadowolony, bo zawsze do szafki Józwowej pcha się bab więcej.

— Przewrócą go — mówi — i świece mi połamią. Zarazbym zamalował którą w łeb, toby się sielma jedna z drugą nie tłoczyła.

Umie porządek utrzymać. Rzadko który kościół jest tak w niedzielę wystrojony. Już w sobotę najmłodsze dzieci znoszą pęki tataraku, a dziad całe rano przystraja nim kościół. Podłoga grubo wysypana i ławki. Ławki szlacheckie przystrojone skąpiej, dworskie suto, o ścianę opiera misternie najwyższe — różowe. Nie wiadomo, czy państwo siadając zwracają uwagę na te ozdoby, ale Antosiek myśli, że chyba by nie chcieli zauważyć. Baby za to głośno chwalą. Mówią: w kozickiej parafii dwóch

który ich tego lotu nauczył. Jak dotąd wszakże, jest to tylko podrzeźnianie. Ani warunki nie dają pola do szerokiej działalności, ani brak odpowiednich uzdolnień nie pozwala wyrość po nad drobną karykaturę. W szeregu umysłów konserwatywnych, współubiegających się o wpływ praktyczny, nie mamy ani jednego wyższej miary, lecz sam drób krzykliwy i pisklíwy, czasem zuchwały i pyszałkowaty. Drób ten chwyta jakieś odgłosy z daleka, coś przeczuwa, jednych gromi, drugich do czynu powołuje, ale zawsze kończy swą rolę na chwilowej wrzawie. W pismach zachowawczych czytamy nieraz wycieczki przeciwko ekonomicznemu liberalizmowi, który „samolubstwo uczynił najwyższem przykazaniem,“ przeciwko „bezdusznemu kapitałowi,“ który przestrzega tylko granic dozwolonego wyzysku, przeciwko postępowi, który ogłodził masy a utuczył jednostki; znajdujemy tam również mętne wykłady nieokreślonego bliżej „posłannictwa żywiołów konserwatywnych,“ słyszymy oderwane akordy szlacheckiej muzyki przyszłości — ale cały ten niedostrojony chór nie ma jasnego motywu, nie ma zdolnego kierownika... Ktoś palił papierosy liberalne — i chwalił je bardzo; poczęstowany wszakże raz przez hrabiego lub nawet... bankiera konserwatywnem cygarem, uznał, że ono jest lepsze od papierosa, i upewnia, że papierosy drapały go zawsze, że do cygar przyzwyczaił się, że one nie szkodzą zdrowiu. Puszczając z nich zaś kółka dymu pod nos przeciwnikom, zachwyca się swoją sztuką i — męstwem.

Oto cała przemiana gatunku i jego użytek — społeczny. Obłoczków i kółek dymu „nowokonserwatywnego“ mamy i mieć będziemy dosyć, ale z nich nic trwałego nie pozostanie. Może kiedyś w innych warunkach pojawi się Luter, albo chociaż Frank, który zreformuje, oczyści i według nowszych wymagań odnowi Kościół zachowawczy; dziś tylko na parkanach i ścianach pałaców arystokratycznych i dworów szlacheckich rzesza partaczów bazgrze karykaturalne freski w stylu „odrodzenia.“

A czem jest ów „młody konserwatyzm“ w swych najlepszych i najżywotniejszych postaciach? Mydleniem i zasypywaniem krótkowidzących oczu lub fantastycznem rojeniem żywiołów, które sądzą, że utrzymają się na swem wysokiem stanowisku, gdy się nieco ku tłumom nachylą. O ile go wspiera zdolność i władza — jak np. w Niemczech i Anglii — może on liczyć na powodzenie dłuższe, tem bardziej, że w walce z wynaturzonym liberalizmem umie zręcznie wyszukiwać i atakować jego strony słabe... Gdy staje przed masami z zapytaniem: co im dała samolubna i chciwa gospodarka mieszczańska, bez miłosierdzia poświęcająca słabszych dla interesu mocniejszych? — naturalnie otrzymuje odpowiedź złorzeczeń i nienawiści pełną. Ale gdy zaczyna udawać dobroczyńcę i przeciągać przez ucho igielne posiadaczów królestwa niebieskiego, zdradza natychmiast swoje wyłączne roszczenie do tej dziedziny. Jako bałamuctwo niema on wartości żadnej, ale jako zwierciadło wad liberalizmu, prędzej czy później, zmusi go do rozwoju i poprawy. Z tego względu jest on zjawiskiem pożądanem. Liberalizm bowiem (mówimy tu naturalnie tylko o zwyrodniałym manchesteryzmie, nie zaś o chrzczonych tą nazwą kierunkach swobodnego myślenia) potrzebuje koniecznie przepalić się i oczyścić w ogniu, jeżeli ma zachować te szlachetne pierwiastki, które w nim tkwią pomieszane z lichymi. Dość spojrzeć na niego w Niemczech, Anglii, Francyi, Austryi — wszędzie, gdzie się rozrósł praktycznie, gdzie najszczytniejszemi hasłami obwiesił i okrył nagość swego samolubstwa.

H.

KŁAMSTWA SOCYALIZMU.

I.

Wiadomo, że krańcowy socyalizm, dla którego ideałów wyrobiła się utarta już dziś nazwa „ewangielii socyalistycznej,“ pod względem teoretycznego uzasadnienia przedstawia liczne błędy i niedokładności. Na błędy te ze stanowiska naukowego niejednokrotnie zwracali uwagę znani socyologowie niemieccy H. W. Riehl, Lorenz Stein i Rudolf Ibering. W formie popularnej jednak i w pewnym związku systematycznym, o ile wiemy, pierwszy zajął się tym przedmiotem dr. Karol Munding, którego książkę najnowszą mamy właśnie przed sobą. W książce tej, noszącej już na tytule rok 1886, autor charakteryzuje słabe strony socyalizmu, obliczając się z nim szczegółowo co do „kłamstw“ *).

Przed teoryą socyalistyczną, według niego, istniały idee socyalistyczne. Są one tak dawne, jak ludzkość sama; jeden wiek przekazywał je drugiemu; wespół z rasami i narodami szły one po świecie. Na legendowym gruncie raju ziemskiego weszło pierwsze ich ziarno. Słońce Azyi sprzyjało jego rozwinięciu, lecz też spaliło jego owoc. Nad budową wieży babilońskiej pracowali możesami socyaliści, dopóki, jak oznajmia Biblia, nie przestali rozumieć się wzajem, a pomieszane zostały ich języki na znak, że ideał i rzeczywistość—to dwie rzeczy zupełnie od siebie różne, i że ludzie raz na zawsze rozstać się winni ze śmiałą myślą zajrzenia do tajemnic niebieskich. „Kto wie? — mówi autor dosłownie. — „W podaniach i mytach ukrywa się nieraz myśl głęboka.“ Następnie zaś zaraz dodaje: „Niemniej przeto jednak ludzie wciąż wracali do wież babilońskich, tworzyli plany budowy i w pocie czoła znosili kamień po kamieniu.“ Przebiegłszy w kilku słowach dzieje starożytności i wieków średnich i stanąwszy w okresie wielkiej rewolucyi francuskiej, Munding powiada: „W głowach burzy się, wre, huczy i kipi, jakby w kotle czarodziejskim. Targa się i wstrząsa wszystkiem, co stworzyli bogowie i ludzie. Formy stuletnie padają

*) *Die Lügen des socialistischen Evangeliums und die moderne Gesellschaft.* Stutgart.

---

dziadów, a ławki nigdy z kurzu niewytarte, kościół niezamieciony; ich dziad co niedziela „tatarniakiem“ wysypie — „galanty.“

Antosiek lubi porządek we wszystkiem. W kościele baby po prawicy, „mężczyznowie“ po lewicy i taki już zwyczaj zaprowadził, że nikt się nie myli, a jeśli czasem jaka baba zawieruszy się w lewicy, to dziad podchodzi i z możliwą delikatnością wyprowadza ją stamtąd. Odpusty tylko psują mu ład. Bo też to są sławne odpusty! Zjeżdżają się trzy, cztery parafie. I jakże tu rygor wprowadzić? Z początku dziad brał baby za kark i pchał na właściwe miejsca, ale potem zaprzestał.

— Te ludzie z jenszych parafij to czysto bydło.

W tej uwadze znajdował częściową ulgę. Eh, można powiedzieć, że niema drugiego takiego dziada.

— Niesłychana rzec—mówią—żeby dziś dziad z brastewnymi śpiewywał godzinki a mały Antosiek śpiewa.

Kiedy już uszykuje w kościele i obejrzy dokładnie, zasiada w najpierwszej ławce w okularach na nosie i z książki zaczyna poważnie „Kiryo elejson.“ Zastępuje po prostu organistę. Mówi sam o sobie:

— Żebym chciał, tobym i organistą został, ale któżby tak kościół uprzątnął.

Uprzątanie i strojenie, to słabość jego. To upodobanie, na pozór wcale niewinne, pogniewało księdza z kolatorem. Antosiek w każde uroczystsze święto stroi kościół brzózkami młodemi, które wynajduje w lesie kolatora, w zimie ścina młode choiny. Wygląda to wcale ładnie, ale inaczej się na to zapatruje dziedzic.

— Dam ja tobie brzózki! — mówi.

Wytoczył sprawę, ksiądz gniewał się, zakazywał, ale Antosiek robi swoje, ścina i upewnia, że to pociecha dziedzica, iż jego lasek przystraja świątynię Pańską.

Już to uporu jest wielkiego. Dobrze, że trafił na takiego księdza. Kiedy w okolicznych kościołach zamieniono kije z dzwonkami na tacki, Antosiek nie dał sobie mówić o czemś podobnem.

— Słychana to rzecz, żebym ja z tacką chodził, jak jaki lokaj, niedoczekanie wasze!

I rzeczywiście nie doczekali. Rozlega się zawsze dzwonek. Antosiek z takiem zadowoleniem dzwoni babom nad głowami!

— Niech no która zdrzemie — mówi — to ją zaraz puknę w łeb, a ciekawym, cobym zrobił tacką?

Chodzi też ze swoim kijem długim, na końcu którego wisi woreczek z dzwonkiem. Od czasu do czasu puka baby. Drzemie co prawda i lewica, ale widocznie dziad dla „mężczyznów“ jest względniejszy; tam pukania nie bywa, czasem tylko poczęstowanie tabaką. To możnaby uważać za delikatne rozbudzenie. Zwykle poczęstowany podsuwa swoją i to nietylko dziadowi, ale całemu otoczeniu, czasem nawet powstaje z klęczek i wyciąga tabakierkę aż ku klęczącym koło konfesyonału. Dziwna rzecz, że po kilkakrotnych takich poczęstunkach nikt nie kichnie. Antosiek zaręcza, że to taka zdrowa tabaka; gotów wmawiać, że lepsza, niż w innych parafiach. On wszystko swoje wychwala. Proboszcza bardzo ceni. „Łepski człowiek, tylko że (tu składa ręce i dodaje żałośnie), nieburacek słabuje, wciąg słabuje.“

Jak też gorliwie słucha kazania! Staje naprzeciwko ambony i melancholijnie patrzy w rozczochranego szlachcica, co zawsze się umieści pod amboną. Można bez przesady powiedzieć, że tylko jeden dziad i sołtys z Zawad umieją słuchać kazania i słuchają. Potem nie mogą się z sobą nagadać, nachwalić.

— Oj mówca nasz dobrodziej, mówca, przytakuje jeden drugiemu.

A stara Jędrzejka drażni ich.

— Jaki tam mówca; w mieście ksiądz godzinę i dwie mówi, a wiejski ksiądz to co, całe kazanie przez dwa pacierze skończy. Ale cóż miastowy naród to nie byle czem zbyć.

Antosiek zły nie odpowiada, splunie, czasem tylko i mruknie:

— Co tam z głupią babą gadać.

A gadać wiele nie lubi. I to największa jego wada. Skarżą się kumy, że inny

rozstrzaskane śmiałą ręką, wszystko, co było skrępowane, zrzuca więzy, rozrywa się i uwalnia. I znów ludzie budują wieżę babilońską, która ma sterczyć w niebiosa. I znów zostają pomieszane ich pojęcia. Morze krwi rozlewa się po nad wieżą i unosi cegłę po cegle..." Wśród zawiei rewolucyi francuskiej socyalizm ze świata ideałów zstąpił do życia rzeczywistego. Ludy starożytne bowiem na Wschodzie, w Grecyi i Rzymie, niemniej wieki średnie właściwie znały tylko idee socyalistyczne, które kiedy niekiedy doprowadzały do pojedynczych przewrotów, ale o ruchach zasadniczo-socyalistycznych, z pewnym, określonym planem przedsięwziętych nie wiedziały nic. Rewolucya francuska, podług dalszego dowodzenia autora, posadziła na tronie myśl swobodną. Ona jedna miała panować nad ludźmi i utrzymywać porządek w społeczeństwie. Myśl ta wszelako, przypisująca sobie jakiś rozum szczególny, nie była niczem innem, jak negacyą dawniej panującej klasy społecznej. Człowiek ekonomiczno-nowoczesny szukał szerokiego, swobodnego pola. Stany dawniej istniejące, szlachta i duchowieństwo, stanęły mu na zawadzie. Rozpoczął więc walkę, a ta walka mas i dążenie do zagłady kasty „uprzywilejowanych"—oto ów rozum przemożny, ów duch swobody stanu trzeciego, który wobec tradycyjnego ustroju społecznego był niczem, a chciał być wszystkiem. Zawarł sojusz z socyalizmem i ogłosił wolność i równość, a wszyscy, którzy czuli się uciśnionymi, pognębionymi i skrępowanymi, zaczęli kupić się około jego sztandarów. Ale nadeszła reakcya społeczna. Obok ciągłych postępów procesu niwelacyi obywatelskiej, wyłoniła się nowa potęga, siejąca rozdwojenie pomiędzy ludźmi. Wystąpił na widownię kapitał.

Przyznając ludziom wolność i zapewniając wszystkim równe prawa, stan trzeci zapomniał zrównać jednocześnie naturalne ich skłonności, osobniczo ich siły i uzdolnienia. W braku takiego zrównania każdy przystępował do ogólnego współzawodnictwa z właściwymi sobie darami, z niedostatkami swymi i przymiotami, z mocą swoją i niedołęstwem, a współzawodnictwo to prędko dosyć przeobraziło się w szorstką walkę. Silny powalił i związał słabszego. Powstał typ ekonomicznie ograniczonego, lecz prawnie wolnego robotnika. Okazały się złudzeniem rozprawy uczonych o harmonii spraw ekonomicznych i wśród zwyrodnienia stanu trzeciego rozwinął się stan czwarty.

Pojęcie tego stanu czwartego jest, podług Mundinga, pierwszem kłamstwem ewangielii socyalistycznej.

Pod tą nazwą socyalizm wyobraża sobie zwykle wszystkie zastępy robotników, jęczących pod uciskiem żelaznego prawa płacy. Tymczasem burząca się i burzliwa masa społeczna z całkiem innych jeszcze składa się żywiołów. Członków i kandydatów do stanu czwartego znajdujemy we wszystkich kołach ludności. Wszędzie, gdzie tylko wybryki stanu trzeciego oddziałały na masę, wszędzie gdzie we wrogiem starciu spotkały się czasy dawne z nowymi—tam wydzieliło się wszystko, cokolwiek nie mogło pogodzić się ze sobą, a jeśli wydzielenie z jakich bądź powodów nie następowało, w każdym razie otwierała się przepaść, która nigdy już potem usunąć się nie dała i która stawała się coraz szerszą i straszniejszą. Proletaryusze wogóle—oto właściwy stan czwarty. Takich ma zarówno klasa włościańska, jak i podupadłe ekonomicznie mieszczaństwo, zarówno arystokracya, jak i stan urzędniczy. Wszędzie widzimy chorobliwy podział pracy, widzimy twarze z wyciśniętym na nich wyrazem nieukontentowania, widzimy postacie zagadkowe — słowem ludzi, którzy tracą grunt pod nogami. Kto wynagrodzeniem za pracę swoją nie jest w możności pokryć kosztów życia odpowiedniego swemu położeniu towarzyskiemu, kto za tę pracę otrzymuje mniej, aniżeli potrzebuje dla zadosyćuczynienia opinii powszechnej i przyzwyczajeniu, pomimowoli budzi się i podsyca żal cichy, zawziętość, która ostatecznie przerzuca go w szeregi stanu czwartego. A choć jednostki podobne nie zawsze hołdują utopiom socyalistycznym, zawsze przecież malują sobie jakieś odrębne państwo przyszłości i z upragnieniem czekają chwili, w której jakiś wypadek powszechno-dziejowy zagrzebie dawny porządek rzeczy w gruzach.

„Stosunki cywilizacyi nowoczesnej—mówi autor—zrodziły liczne typy niewolnicze. Ten sam duch czasu, który wolność indywidualną podniósł do godności zasady bezwzględnej, jednocześnie ruchowi swobodnemu na każdem polu zakreślił ciasne granice. Kto chce poznać jego ofiary, musi zajrzeć za kulisy społeczeństwa." Rozsuwając przed nami te kulisy, ukazuje autor najprzód rycerzy przemysłu bez czci i wiary z dewizą: „przez pieniądze do potęgi, przez potęgę do pieniędzy!", dalej awanturników literackich, którzy gwoli swej sakiewce zapierają się własnego sposobu myślenia i bronią spraw dla siebie najobojętniejszych, jeszcze dalej proletaryuszów wykształconych, którzy mają za dużo aby umrzeć, lecz za mało, aby żyć, wygłodniałych nauczycieli, lekarzy bez pacyentów, adwokatów bez praktyki, szlachtę zbankrutowaną, frymarczącą herbami i dyplomami, przestępców najrozmaitszej kategoryi, kasyerów-malwersantów, oszustów itp. Wszystko to są apostołowie i członkowie tak zwanego stanu czwartego. Mało który z nich wie, jaką drogą doszedł do tego, czem jest, ale w piersi każdego bije serce pełne nadziei: u jednego w gorączkowym takcie dzikiej, nieokiełznanej namiętności, u innego spokojnie i miarowo, napół pragnąc, napół rezygnując, jak tęsknota. Ale wszyscy mają jeden rys wspólny. Wszyscy oni, świadomie, czy bezwiednie, idealnie, czy praktycznie, są cichymi nieprzyjaciołmi istniejącego porządku społecznego.

Do otwartych nieprzyjaciół porządku tego zaliczyć także należy niewolników żelaznego prawa, uorganizowany proletaryat mas, mianowicie robotników w bluzach i fartuchach, stanowiących prawdziwą „ecclesia militans" stanu czwartego. Przedmiotem napadów ze strony tej ostatniej kategoryi indywiduów jest panująca klasa społeczna, mieszczaństwo. Odepchnięci od stołu, zastawionego dla szczęśliwych tego świata, oddają się radykalizmowi upajającemu i dążą do wykonania ostatniej woli zeszłych tytanów wielkiej rewolucyi francuskiej. „Dopóki — powiada Munding— nędza ograniczała się na najniższych warstwach społeczeństwa, nieszczęśliwsi ci w niemem zrzeczeniu się pędzili żywot, a walka i wyzwolenie nie były jeszcze hasłem „wydziedziczonych." Dopiero, gdy nędza z góry nadół otrzymała zasiłek, świadomość rewolucyjna przeniesioną została na masy. Wśród walk bezustannych robotnik stał się filozofem. Umyślnie dla niego wytworzona prasa, która po każdem zdaniu kładła wykrzykniki, pierwsza obudziła w nim pragnienie wyzwolenia. Prawiła mu ona ciągle o wolności, równości,

---

dziad narozpowiada różności, a nasz ledwie coś nie coś. Antosiek tłomaczy się, że odwykł.

— Wy przy każdej robocie społem, gęba wam nie ustaje, a ja zawsze sam. Na cmentarzu, w kościele, w nabożeństwo nie wypada.

Lubi za to dumać, snuć projekty. I tak: marzył, żeby starszego chłopaka „skołować," zrobić księdzem. Ale chłopak umarł, marzenia dziada rozwiały się. Kiedy kopał mogiłkę, płakał, powtarzał też cicho: byłbyś księdzem, aleś nie doczekał. Cmentarz znał, jak swoją izbę. Lubił go, chociaż to był smutny cmentarz, bez pomników, zarośnięty, zaledwie trzy cztery brzozy szumiały. Pod jedną, ulubioną siada Antosiek, kiedy odpoczywa, albo posila się. Myśli, że tu, pod nią i jemu kiedy mogiłę wykopią. Choć wogóle bardzo rzadko przypomina sobie swój wiek. Kopał mogiły tylu młodszym! Nieraz myśli sobie, że temu szlachcicowi z rozczochraną głową dopiero grób długi wykopie, pół łokcia dłuższy, niż innym; taki wielki szlachcic! Już wie, w którym miejscu. Pamięta też każdą mogiłę, gdzie znajomi leżą, gdzie najciężej kopać. I swego chłopaka grób zna. Z początku siostra wianki kładła, stary drewniane krzyżyki ciosał, ale z wiosną z krzyżyka śladu nie zostawało, więc po paru latach mogiła chłopca zarosła, zrównała się z innemi i niczem się nie różniła. Ale stary ją pamięta. Nieraz znów kopiąc grób, chwali, że jednak ci ludzie, co miejsce na cmentarz obierali, mieli rozum; zawsze na góreczce, na piaseczku.

— Dopierobym zagrzał czoła, żeby przyszło kopać na glinie.

I przypomina sobie, że właśnie w kozickiej parafii cmentarz jest na mocnej ziemi: tam męka, tam dziad najmuje do każdego grobu, a on tylko w najtęższy mróz nie może dać sam rady i to gdy bardzo pilno, a jak nioma mrozu, to bajki. Przypomina sobie dalej, jakie to śliczne siano sprzątają dziadowie koziccy. Pociesza się jednak, że owe kopy siana idą do podziału, przyczem organista bierze najwięcej; jego kopeczka własna, co prawda „marna," „mizerna," ale ma ją sam dla siebie.

Tak przywykł do swego cmentarza i kościoła, że nie chciał się ruszyć. Napróżno najstarszy chłopak prosi, żeby rzucił dziadostwo i namawia:

— Niech ojciec kupi grunt, będziemy gospodarować.

Stary nie słucha. Oddał synowi oszczędności, sam „kościelnym" został.

— Do śmierci będę, któżby tak kościół sprzątnął. Pochowacie mnie na cmentarzu, com go własnemi rękami skopał.

Zawziął się Antosiek.

W parafii tymczasem głośno zaczynają ubolewać nad słabowaniem księdza, ba, nawet powody obiegają z ust do ust. Śmielsi gadają głośno, a dziad słucha i głowę zwiesza czasem.

— Taki już nieboraczek chory, że wcale na nogi nie może.

Niektórzy badają Antośka, on patrzy tylko zdziwionemi oczami i zaraz dodaje ze smutkiem:

— Wcale zdrowia nioma i tyla. Choćbym co i wiedział—myśli — zaśbym miał sumienie na mojego dobrodzieja przepleść.

Nie przeplata on, przeplatają inni. A gdyby patrzył i uważał dobrze, toby pewno dojrzał, że ksiądz nie ten dla niego, co dawniej bywał. Przejdzie mimo, nie zagada, na pozdrowienie ledwo kiwnie głową, rozkazy przez organistę daje. Może Antosiek i uważa tę zmianę, lecz przypisuje ją nienormalnemu stanowi jegomości. Ale stracił dawną fantazyę; po kościele wolniej chodzi, przygarbił się bardziej, tabaki często nie bierze, choć mu wsuwa ten i ów w samą rękę. Posmutniał widocznie. A tu za jedną biedą idzie druga. Nieszczęście prawdziwe. Umarł pan Załoga, ten szlachcic, co zawsze księdza pod rękę prowadzał podczas procesyi. Że umarł, to nie dziwnego, bo był już stary i chylił się do ziemi. I nie tu nieszczęście właściwie, ale w wykopanym przez Antośka grobie. Coś staremu w głowę wlazło, że krewni żądają za dużego.

— Przecie nie taki wysoki, daleko mu do szlachcica rozczochranego! Skrócę o cal,

godności ludzkiej i o ludzie w przeciwstawieniu do klas rządzących. I jakby tknięty przeczuciem jakiemś, zebrał się w gromadę, zerwał nagle i głosem piorunującym zakrzyknął na wsze strony: ja jestem ludem! Stan trzeci ze wszystkich ludzi chciał zrobić obywateli, czwarty zaś w państwie i społeczeństwie nie chce zostawić nikogo, prócz robotników. Nie poprzestaje on na dążeniu do wyzwolenia samego siebie, lecz ewangielią swoją pragnie uszczęśliwić ludzkość całą. I w tej okoliczności właśnie leży subtelna jego ironia i kłamstwo. Wogóle wszędzie, gdzie wśród ruchu robotniczego zaczyna się dyalektyka, w ślad za nią idą kłamstwa. Ideę stanu czwartego rzucili teoretycy, drogą dyalektyki wysnuli ją oni z anarchii ekonomicznej i upadku materyalnego w społeczeństwie nowożytnem. W rzeczywistości stan ten składają męty wszystkich innych. Rozkład społeczeństwa, sprowadzony przez zasadę wolnej konkurencyi, wytworzył istoty szukające przytułku socyalnego. Ale stan ten zniknie niebawem, skoro odnajdą się znowu stany dawne, które mają realną podstawę a były zawsze i zawsze będą. Stan czwarty jest chwilową potęgą społeczną, lecz bynajmniej nie stanowi trwałej grupy historycznej. Podług dogmatu ewangielii socyalistycznej przeznaczeniem jego jest zburzyć społeczeństwo całe; przyjdzie jednak czas gdy się okaże, że właściwem jego i uprawnionem dążeniem jest tylko to, które zmierza do zlania się z tem społeczeństwem.

(D. c. n.).

Ad. J. Cohn.

PO OBU BRZEGACH DUNAJU.

II.

Gdy pierwszy raz przybyłem do Kroacyi — pisze Laveleye — imię Strossmayera było mi nieznanem. Z portretem jego atoli spotykałem się wszędzie: w oknach księgarni Zagrzebia i Karlstadtu, we wszystkich zajazdach i chatach włościańskich aż do małych wiosek Pogranicza wojskowego. Gdy opowiedziano mi, co człowiek ten uczynił dla rozwoju oświaty, literatury i sztuki między południowymi słowianami, byłem zachwycony. Nie mając listu polecającego, nie śmiałem go odwiedzić; od tego jednak czasu gorącem mojem życzeniem było poznać go bliżej. Dobra sposobność po temu zdarzyła mi się jednak nie w Kroacyi, lecz w Rzymie. W grudniu 1878 biskup Strossmayer przybył tam dla poinformowania papieża o stosunkach kościelnych w Bośnii. Spotkanie nastąpiło na obiedzie u ministra Minghettiego. Gdy zostałem mu przedstawiony — pisze Laveleye — Strossmayer powiedział mi: „Czytałem to, co pan pisałeś o moim kraju w *Revue des deux Mondes*. Jesteś pan przyjacielem słowian, a więc i moim. Odwiedź mnie w Djakowie, pomówimy obszerniej.“

„Ten człowiek niezwykły — mówi Laveleye — zrobił na mnie głębokie wrażenie. Wydał mi się świętym z wieków średnich, malowanym przez fra Angelico w celach św. Marka we Florencyi. Twarz jego ściągła, o rysach delikatnych, ma wyraz ascetyczny; włosy, przypruszone siwizną i układające się w pukle, otaczają ją jakby aureolą. Szare oczy pełne są blasku, światła i natchnienia. Tryska z nich płomień żywy i łagodny, odblask wielkiego umysłu i wielkiego serca. Mowa jego jest płynną, barwną i pełną obrazów. Strossmayer mówi wprost to, co myśli, bez żadnych dyplomatycznych zastrzeżeń, z wielosłownością dziecka i głębokością geniusza. Całkowicie oddany swej ojczyznie, nie pragnąc nic dla siebie, niczego się też nie obawia...“

Gdy rozmowa zeszła na bieżące wypadki polityczne, Strossmayer okazał się zwolennikiem zajęcia Bośnii, będącego wówczas na porządku dziennym, zastrzegał się jednak stanowczo przeciwko germanizacyi lub madziaryzacyi tego słowiańskiego kraju. Na wzmiankę jednego z obecnych, że niektórzy mienią go zwolennikiem Rosyi, odpowiedział, że jest to potwarz i że oddałby życie „za naszą starą i kochaną Austryę.“ „W jej to łonie—mówił dalej — powinniśmy my, słowianie zachodni, żyć, rozwijać się i dojść do spełnienia naszych przeznaczeń!

— Przypominam sobie jednak—mówił Laveleye — że podczas pierwszego mego pobytu w Zagrzebiu znalazłem kroatów rozentuzyazmowanych przyjęciem, jakiego doznali w Moskwie; wracali właśnie z etnograficznej wystawy.

— Tak jest — odrzekł Strossmayer — w czasie owym przyszła właśnie do skutku umowa z Deakiem, który oddawał nas całkowicie na łaskę węgrów... Dziś to przeszło, wierzaj mi pan jednak, że usposobienie z r. 1867 powróci, ilekroć kroaci ujrzą się zagrożeni poważnie germanizacyą lub madziaryzacyą. Słuchaj przyjacielu— mówił dalej natchniony obrońca słowiańszczyzny południowej—w Europie są obecnie dwie wielkie sprawy: sprawa narodowościowa i socyalna. Trzeba podnieść ludy zapóźnione w swym rozwoju i klasy wydziedziczone. Chrystyanizm daje nam rozwiązanie, ponieważ zaleca pomagać biednym i upośledzonym. Jesteśmy wszyscy braćmi, trzeba jednak, ażeby braterstwo przestało być czczem słowem a stało się rzeczywistością.“

Gdy wyszedł Strossmayer, gospodarz domu, Minghetti odezwał się do Laveleye'a w te słowa:

— „Miałem sposobność widzieć z bliska wszystkich wybitnych mężów naszego czasu. Dwóch tylko między nimi zrobiło na mnie wrażenie, ludzi odmiennych od nas; są nimi: Bismark i Strossmayer.“

Józef Jerzy Strossmayer urodził się w Osieku d. 4 lutego 1815 r. z rodziny ongi niemieckiej, pochodzącej z Linzu, która jednak następnie stała się kroacką. Nauki średnie pobierał tamże, teologiczne w diakowskiem seminaryum i na uniwersytecie peszteńskim. W szkołach odznaczał się niezwykłemi zdolnościami a w uniwersytecie zadziwiał erudycyą i siłą dyalektyki. W r. 1837 zdolny i pracowity alumn został wikaryuszem w Peterwardenie, w trzy lata zaś później nauczycielem przy wyższej szkole teologicznej w Wiedniu, gdzie też doktoryzował się, wzbudzając podziw i uznanie swych egzaminatorów. Wkrótce potem zostaje profesorem przy liceum biskupiem w swym kraju rodzinnym, a w r. 1847 przełożonym wspomnianej szkoły wiedeńskiej Augustineum i kaznodzieją nadwornym. Miał wtedy zaledwie lat 30.

W tym czasie bierze już żywy udział w odrodzeniu narodowem Kroacyi, pisując w języku ojczystym i utrzymując stosunki z ziomkami, równie jak on oddanymi sprawie narodowej.

W r. 1849 diakowski biskup Kukowicz usunął się od zajmowanej przez się posady; na miejsce jego cesarz powołał Stross-

---

o półtora. Przecież mi nie pirszyzna groby kopać, wiem dobrze, że taki wystarczy.

Jakoś i w plecach boli go więcej, niż zwykle i ręce pomdlały. Nie dokopał, jak mu kazali, jest jednak przekonany, że trumna zmieści się. Nie zmieściła się jednak. W obec mdlejącej rodziny i całego zgromadzenia stary musiał grób powiększyć. Jak on cierpi! Rydel drży mu w ręku, pot i łzy razem płyną.

— Com ja nieszczęśliwy zrobił! — powtarza sobie.

Żal, strach miotają starym. Co jegomość powie, co powie? Jegomość nad grobem poczekał, kiedy był skończony, pokropił trumnę i nic nie powiedział. Z oczów widać, że się bardzo gniewa, bo i jakże nie gniewać się; ale ani łaje, ani wymówek nie robi, tak jakby dziada nie widział.

— Oj! wolałbym, żeby mię w pysk palnął — wyrzeka sobie Antosiek.

Potem ogarnia go złość na niewinnego nieboszczyka.

— Dyabliż go wiedzieli, że się tak po śmierci wyciągnie, gdzie mu było do ślachcica z rozczochranym łbem! Skaranie boskie!

Powoli przypomina sobie, że pan Załoga chodził zawsze przygarbiony, ale kto go tam wiedział, że się tak wyciągnie! Nawymyślał stary z kolei sobie, a z cmentarza nie schodzi. Już dawno godzina obiadowa minęła, a dziad sypie ziemię i mogiłę równa, uklepuje.

— Jak ja tera w oczy księdzu spojrzę! Trzydzieści pięć lat służę i nic podobnego mi się nie przytrafiło.

I znów wymyśla samemu sobie, ale to mu żalu nie ujmuje. Czekało go to samo od żony, od organisty, ale to mała pociecha dla biednego Antośka.

— Żeby tak jegomość nagadał, toby mi ulżyło.

Ale jegomość nie nagadał, coś innego miał dla niego. W parę miesięcy po owym fatalnym pogrzebie wymówił dziadowi miejsce.

— Stary jesteś — rzekł — niedołężny, rady sobie dać nie możesz, przytem roznosisz mi po parafii plotki, możesz sobie innego zajęcia poszukać.

Stary stał jak ogłuszony, powtarzał tylko ostatnie wyrazy księdza: jakiego zajęcia, jakiego?

Ale księdza niewiele to obchodzi.

— Rób, co chcesz i wynoś mi się.

Dziadowi w głowie się kręci, nie wierzy temu, co usłyszał, myśli, że właściwie nie słyszał.

Nie zamknął kościoła, nie sprzątnął po mszy, tylko świece zgasił jeszcze przed owem nieszczęśliwem: wynoś się! Drży, jak w febrze, ledwo zaszedł do chaty. Stanął nieruchomie i patrzy na swoją babę. Zmieniona twarz starego przestraszyła żonę.

— Ociec, ociec, co tobie! — woła i trzęsie go za ramiona, a tu Antosiek w płacz. W płacz uderzyła i Antośkowa i wszystkie dzieciaki, jak usłyszały: jegomość nas wygania!

Baba jednak nie straciła jeszcze nadziei.

— Poczekaj, pójdę z dziećmi, poproszę.

— Obłap za nogi — radzi dziad.

Nie pomogło jednak obłapienie. Ksiądz zawziął się na Atośka i nie chciał słuchać.

— Przecieśmy sobie nie przysięgali do śmierci, to i cóż, że tyle lat wysłużył.

Powróciła dziadowa z niczem.

— Prawda — mówi — toć nie przysięgalim sobie.

W dzień wyprowadzki ksiądz z domu wyjechał. Przewidywał smutne pożegnanie.

I dobrze zrobił, żal „Antośka małego,“ byłby go chyba rozrzewnił. Obchodził stary kościół, cmentarz, dzwonnicę, każdy dzwon żegnał z imienia i głośno wyrzekał.

— Przez trzydzieści lat dzwoniłem, myślałem, że nad mojem ciałem zadzwonita, a jegomość wypędza.

Płakał stary. Baba z dzieciakami też sobie nie żałowały. Żegnały się z całą wsią i płakały. Wieś ze współczuciem patrzyła na wyjazd dziadów. Duża część wyległa na drogę, niektórzy wstrzymali się jednak od jawnych oznak żalu.

— Może ksiądz będzie markotny.

Ale ksiądz nie pytał nawet, jak i kto dziada żegnał. Rad był, że go się pozbył.

mayera. Kroaci byli wówczas w łaskach u dworu i kandydatura młodego biskupa skutecznie została poparta przez bana Jellaczicza i wpływowego również magnata barona Metellusa Ozegowicza.

Pierwsze lat dziesięć tego biskupstwa upłynęło pod germanizatorskimi rządami Bacha. Strossmayer zrozumiał wybornie, że ażeby zamachy tego rodzaju udaremnić, należy rozbudzić i wzmocnić uczucie narodowe i zaszczepić kulturę umysłową przez rozwój literatury i naukę dziejów narodowych. Przyjąwszy za swą dewizę słowa: *Sve* (wszystko) *zavjeru i domovinu*, nie ustawał w tych usiłowaniach. Korzystając ze znacznych dochodów biskupstwa, ustanawia naprzód liczne stypendya przy szkołach średnich w Osieku, Varasdinie, Rjaca, przy uniwersytecie wreszcie zagrzebskim, pragnąc w ten sposób ułatwić młodzieży niezamożnej studya naukowe. W samym Djakowie wznosi i utrzymuje swoim kosztem: gimnazyum, szkołę wyższą żeńską, szkołę niższą dla dziewcząt, seminaryum dla bośniaków. Nie poprzestając na tem, urządza, również w Djakowie, seminaryum dla nauczycieli ludowych, wydawszy w tym celu 200,000 fr. Wspiera jednocześnie piśmiennictwo krajowe, pomagając w pracy twórcom literackiego języka serbskiego, Wukowi Karadziczowi i Daniczniczowi; bracia Miladinowicze, podejmowani gościnnie przez Strossmayera w Djakowie, pracują nad wydaniem ludowych pieśni bułgarskich — były to jedne z pierwszych książek, wydanych w nowożytnym języku bułgarskim. Przy seminaryum duchownem w Djakowie hojny opiekun kroackiego odrodzenia zakłada i uposaża katedrę dawnych języków słowiańskich. W tymże czasie gromadzi w swym pałacu bogatą bibliotekę, która przejść ma do różnych szkół w Djakowie, oraz muzeum sztuk pięknych, przeznaczone dla Zagrzebia. Nie ma zresztą naukowego lub literackiego przedsięwzięcia w Kroacyi, któreby nie doznawało od niego opieki.

W życiu politycznem bierze udział dopiero po upadku Bacha, a powołany do Rady państwa, w początku ery konstytucyjnej w Austryi, obstaje z wielką energią za jaknajpełniejszą autonomią Kroacyi. „Byłem zawsze tego zdania—pisze Laveleye—że już wtedy można było utworzyć w Austryi porządek racyonalny i trwały, oparty na historycznej niezawisłości różnych krajów z centralnym parlamentem dla spraw wspólnych na wzór Szwajcaryi lub Stanów Zjednoczonych. Nie skorzystano jednak z chwili odpowiedniej i po Sadowie trzeba było zgodzić się na dualizm, narzucony przez węgrów. Cesarstwo zostało przecięte na dwoje a Kroacya oddana Pesztowi na pastwę.“

Gdy przyszło do przeprowadzenia ugody kroacko-węgierskiej, uważano za stosowne usunąć ze sceny Strossmayera, który za żadną cenę nie chciał poświęcić autonomii swego kraju. Czasy wygnania biskup djakowski przepędził w Paryżu, oddając się z zamiłowaniem nauce i sztuce. Od czasu powrotu swego do Djakowa, tj. od lat piętnastu usunął się zupełnie od życia politycznego; nie należy też do sejmu zagrzebskiego, ażeby nie oskarżono go o podtrzymywanie skrajnej partyi Starcewiczów. Wiedzą jednak w Wiedniu i Peszcie, że biskup z Djakowa niechętnem okiem patrzy na obecną unię Kroacyi z Węgrami. Zapewniają, że podziela w zupełności przekonania „partyi niezawisłych“ (neodvisne stranka), do której należy między innymi prezes Akademii zagrzebskiej ks. Racki, czynnego jednak udziału w pracach tego stronnictwa Strossmayer nie przyjmuje. Pragnie on zapewnić przyszłość swemu narodowi, podtrzymując w nim życie umysłowe i ruch naukowy. Jest tego zdania, że owoce pracy duchowej najtrudniej ulegają zniszczeniu i przetrwają wszelkie inne wysiłki. W dziedzinie tej siła brutalna jest bezwładną. „Pracując w tym kierunku—powiedział Strossmayer—nic na świecie nie może nas powstrzymać od spełnienia misyi między braćmi naszymi z Bałkańskiego półwyspu, do której opatrzność zdaje się nas powoływać.“

Nie wyliczyliśmy jednak wszystkich usiłowań biskupa z Djakowa na polu umysłowej kultury. W r. 1860 wystąpił z propozycyą założenia w Zagrzebiu Akademii sztuk i nauk, popierając to wezwanie darem 200,000 f., który w następstwie znacznie jeszcze powiększył. Zawezwano społeczeństwo całe do składek w tym celu, zebrano 800,000 fr. i w dniu 28 lipca 1867 r., nastąpiło otwarcie instytucyi, z której Kroacya słusznie jest dumną. Przy otwarciu jej Strossmayer wypowiedział mowę, która zyskała szeroki rozgłos w kraju. Od tego czasu Akademia zagrzebska wydała już 67 (?) tomów dzieł, poświęconych dziejom Kroacyi, i rozpoczęła wydawnictwo wielkiego słownika języka kroackiego, na wzór podobnych prac Grimma i Littrégo.

Zanim atoli ukończoną została sprawa Akademii zagrzebskiej, Strossmayer podniósł w sejmie kroackim (1867 r.) konieczność założenia uniwersytetu w Zagrzebiu, ofiarując na ten cel ze swojej szkatuły 150,000 fr. Niedługo potem, we wrześniu, na uroczystości, poświęconej pamięci bohatera kroackiego Mikołaja Zrińskiego, wypowiedział w tejże samej sprawie mowę, która wywołała nieopisany zapał w całym kraju. Składki doszły wkrótce do sumy 500,000 fr. i uniwersytet kroacki został otwarty w dniu 19 października 1874 r. Była to pamiętna chwila w życiu Strossmayera. Do Zagrzebia zbiegli się patryoci z całej Kroacyi, przybyli liczni goście z południowej Słowiańszczyzny; miasto było illuminowane i przybrane w chorągwie o barwach narodowych, tłumy, przeciągając przed mieszkaniem Strossmayera, wołały: „Niech żyje ojciec ojczyzny!“

W rzeczach religijnych i kościelnych, Strossmayer—pisze Laveleye—jest chrześcianinem w duchu ewangelicznym; przeciwnikiem nietolerancyi, przyjacielem swobody, światła, postępu, całkowicie oddany swemu narodowi i biednym. Wiadomo, że biskup z Djakowa występował energicznie przeciwko nieomylności papieskiej. Ostatnimi czasy pojednał się z Rzymem i dziś pracuje nad przyprowadzeniem do skutku unii między obrządkiem greckim i rzymskim, mając na myśli przedewszystkiem zjednoczenie serbsko-kroackiego narodu, złączonego w języku a rozdzielonego w sprawach wyznaniowych.

Poglądy swe rozwinął w *Postnych poslaniach* (1881 i 1882). Laveleye przypuszcza, że pod wpływem właśnie Strossmayera Rzym wznowił cześć Cyryla i Metodego...

Człowiek to—według Laveleye'a—wolny od wszelkich osobistych ambicyi i egoizmu. Życie jego jest każdodzienną ofiarą; wszystkie myśli tego narodowego działacza zwracają się ku dobru bliźnich i przyszłości własnego kraju. Nikt nie zrobił tyle dla rozbudzenia narodowości i nie robił tego z taką wytrwałością i powodzeniem. „Między szlachetnemi postaciami, które w tym wieku są zaszczytem ludzkości, nie

---

— Stary niedołęga i w dodatku plotkarz, niewdzięcznik.

Zamieszkali starzy przy najstarszym synie; Antośkowa prędko przywykła. Przędła, „robiła krosna,“ z synową pokochały się nawet.

— Mamulecku, mamulecku; synowo, synowo — słychać po całych dniach, gawędzą i śmieją się.

Stary został markotny, jak przyjechał. Do niczego się nie bierze. Siedzi tylko po całych godzinach i patrzy w ścianę. Może myśli o dawnych dniach, o swojem cmentarzu, kościele? Zaczyna to niecierpliwić kobiety, niecierpliwi i syna.

— Możeby ojciec choć drew uciął, albo wądół do kartofli pomógł wykopać.

Dał staremu rydel w rękę i pociągnął z izby. Antosiek stanął z rydlem w ręku i duma:

— Dawniej ludziom groby kopałem, a teraz co, kartofle mam grzebać!

I zapłakał. Zupełnie zdziecinniał.

Kiedyś wybrał się do swego dawnego kościółka, nie mógł dłużej wytrzymać. Wcisnął się w sam kąt, przy bocznych drzwiach, ale go poznali; trącali się w około i szeptali:

— Patrzta! „mały Antosiek.“

Dziwili się przytem, że tak zbiedniał: skóra i kości, a posiwiał!

Wrócił jeszcze więcej przygnębiony.

Na jego miejscu uwijał się dziad, ale dziadem tylko z przyzwyczajenia nazwany, bo chłop tęgi i młody jeszcze, nie taki zgarbiony i mały. Gdzie Antosiek musiał przystawiać schodki, tamten ręką dostaje, nawet na pakę się nie wspina.

W kościele czyściutko, porządnie. Antośkowi zdawało się jednak, że koło ambony wisi pęk pajęczyny, nie mówiąc już o kątach pod chórem. Nie było też ani „tatarniaku,“ ani zielonych brzozek. Widać dziada lubią, jak i jego kiedyś — i tabaką częstują!

— Zapomnieli już — powtarza sobie — ze łzami, obywają się beze mnie!

Zaraz po mszy wysunął się z kościoła i nie zaszedł nigdzie, uciekał prawie ze wsi. Spochmurniał odtąd jeszcze więcej. Baba mu wymyśla:

— Ty darmozjadzie, przecieby jeszcze jakiej robocie poradził.

Ale dziad do niczego się nie bierze.

— Kościół bym zamiótł, ale mi go nie dadzą.

I rzeczywiście, był w kilku parafiach, ale wszędzie jedno usłyszał: niedołężni jesteście i podobno plotki robicie, rozgadujecie. Nie dostał więc stary miejsca. We wsi zaczynają mówić, że pewno syn starego wygoni z chaty: po żebranym pójdzie — dodają. Nie doczekał jednak stary tego strapienia. Zniknął sam bez wieści. Co prawda, nikt się nie dowiadywał o niego z początku — ani baba, ani dzieci. Poszedł, to i poszedł; sprzykrzy mu się, to i powróci. Mijały jednak miesiące, a stary nie wracał. W rok dopiero mówił ktoś, że widział go przy cmentarzu, jak o zmroku stał i mruczał coś do siebie. Podobno od tego czasu powtarza się to co parę tygodni. Dziad postoi, pomruczy i znika. Nikt nie wie, skąd przychodzi i dokąd idzie, a ktoby się tam kłopotał, z czego żyje! Widać, że sobie daje radę, kiedy chodzi i „przykryty“ jest. O zmroku przychodzi, pewno w nocy odchodzi, bo nikt rano nie widział. Może upatruje, czy nie zajęli jego miejsca; on je tak dawno wybrał sobie na grób, przecież o tem cała wieś wie. Może myśli, że kiedyś na swojem ukochanem miejscu głowę złoży! Pochowają go przecie, muszą pochować. Czy tylko zdąży, czy się tylko zawlecze pod ten parkan, czy mu zadzwonią jego dzwony ulubione!

A we wsi znajomi powtarzają: oj Antośku, Antośku, na liche ci wyszło. Nikt jednak nie podejdzie do starego, choć go kto dojrzy wieczorem. Tłomaczą się:

— Strach bierze, koło cmentarza stoi a mruczy!

Podobno po trzech, czy czterech latach Antośka już i przy cmentarzu nie widywali.

— Przepadł gdzieś i tyla — pocieszą się niestrapiona wcale wdowa.

X. X.

znam nikogo—mówi autor—któryby był odeń wyższym. Kroacya dumną być może, że wydała takiego męża."

(D. c. n.).

Z GALICYI.

Lwów, 15 października.

Inauguracya roku szkolnego w uniwersytecie — tradycyjne nudy — bomba rzucona przez prof. Dybowskiego — gromy ze strony świętoszków — uwielbienia dla nauki. — Nowe czasopisma. — Chroniczne wady.

Od niepamiętnych czasów po raz pierwszy uroczysty akt otwarcia roku szkolnego w uniwersytecie tutejszym zwrócił na siebie uwagę szerszego ogółu. Uroczystość ta tradycyjnie nudna (jak wiele podobnych) przechodziła zwykle niespostrzeżenie. Porządek utartym zwyczajem zawierał w sobie nabożeństwo, potem sprawozdanie rektora o stanie uniwersytetu w ostatnim roku, kończące się przemową zachęcającą młodzież do pracy, wreszcie odczyt któregoś z profesorów, zmierzający do podobnej, jak mowa rektorska, konkluzyi.

Nabożeństwo nikogo tak dalece nie wabi, dane statystyczne znajdują się w corocznem sprawozdaniu uniwersyteckiem, odczyt wstępny od lat już wielu drukował zaraz po uroczystości *Przewodnik naukowy*, zachęty do pracy nasłuchać się musi młodzież przy każdej sposobności — toż nic dziw, że wiedząc doskonale z góry, co w tym dniu ma usłyszeć w auli, nie zbyt tam spieszy.

Naraz pęka bomba. Akt niby odbywa się po dawnemu, ale z mównicy profesorskiej brzmią rzeczy całkiem nowe, uznane już wprawdzie w świecie nauki, ale nie wśród arcyreligijnego społeczeństwa i jego opiekunów. Mury lwowskiego uniwersytetu nie słyszały jeszcze podobnych bezbożności a dygnitarze kościelni brali spokojnie udział w inauguracyi roku szkolnego, „uświetniając" ją swoją obecnością, tj. drzemiąc swobodnie na aksamitnych fotelach.

Jakże niemiłe przebudzenie! Prof. Dybowski, obrawszy sobie za temat odczytu skreślenie dzisiejszego stanu, pochodu, i celu biologii, wyznaje otwarcie, że jest wyznawcą teoryi rozwoju (o zgrozo!), podnosi zasługi Darwina i wypowiada nadzieję, że z postępem nauk biologicznych niejedna prawda, stłumiona obecnie przez fanatyzm i nietolerancyę, zyska swe uznanie u ogółu. Tego za wiele! Dygnitarze słuchają z oburzeniem, objawiają je rozmaitymi ruchami a gdy po skończonym odczycie dały się słyszeć oklaski, arcybiskup Morawski wypowiada rektorowi swoje niezadowolenie z powodu odczytu i oznajmia, że jego noga nie przekroczy już nigdy progów uniwersytetu. W ślad za tem grom po gromie spada na biednego profesora za jego śmiałość: *Gazeta narodowa* daje mu lekcyę grzeczności, wypowiadając zdanie, że odczyt taki nie powinien był się odbyć ze względu na zaproszonych gości; według niej nauka powinna używać rękawiczek. *Przegląd* postąpił sobie dowcipniej; powiedział po prostu, że prof. Dybowski nie miał wyobrażenia o tem, co wykładał, że to była tylko eskapada (sic), obliczona na niedoświadczonych słuchaczów!

A profesorowie? Ci naradzali się długo nad tem, czyby nie wysłać deputacyi, któraby przeprosiła ks. arcybiskupa za niewłaściwy krok prof. Dybowskiego!! Może już i wysłali. Czekam tylko, rychło li dowiemy się, że Dybowskiego wygryziono z lwowskiego uniwersytetu. O nauko, jakże ci swobodnie — u nas!

Patrząc na tak wybitne objawy uwielbienia dla nauki, dziwię się, że nie nakażą, ażeby wogóle nie uczono czytania i pisania. Boć któż zaręczy, że temu, który już zgłębi tajniki wielkiego i małego abecadła, nie wpadnie potem jaka bezbożna książka w ręce i nie skazi jego czystych myśli? Prawdziwym zaś podziwem przejmuje mnie bohaterstwo tych ludzi, którzy wśród takich stosunków chcą wydawać jakieś czasopisma. Na kogóż oni liczą? skąd się w nich bierze tak dobry humor? A bierze się przecież widocznie, skoro w samym Lwowie pojawiają się aż dwa pisma humorystyczne: *Szpilka* i *Śmigus!* Gdybyż na tem koniec!

Ale gdzie tam! Równocześnie odradza się, jak Feniks z popiołów, *Strażnica polska*, zapowiadając, że chociaż już bez pomocy brata — bliźniaka, *Sztandaru polskiego*, bronić będzie wytrwale dawnych swych haseł, pojawia się także nowe pismo tygodniowe „literackie, artystyczne i naukowe" p. t. *Tygodnik polski* a ma się jeszcze ukazać *Przegląd polsko-katolicki* i miesięcznik p. t. *Przegląd społeczny*. Doprawdy nie wiem, co mam o tem myśleć. Cieszyłbym się, gdyby które z tych pism wydarło choć tuzin abonentów szeroko rozgałęzionym tutaj piśmidłom niemieckim, jak *Buch für Alle, Zu Hause, Illustrirte Welt, Ueber Land und Meer* itd. itd. Więcej pretensyi nie mógłbym nawet rościć np. do *Tygodnika*, który taki zakreśla sobie program (dosłownie): „dobre powieści tak co do fabuły, jak stylu i tendencyi; popularne artykuły w kwestyach żywotnych, z dziedziny literatury, sztuki i nauki; wyczerpujące i sumienne krytyki utworów literatury polskiej i obcej — słowem treść taka, która zabawić, zająć i pouczyć może czytelnika — oto główne zadanie czasopisma itd."

Czy jednak można liczyć na taki pomyślny rezultat? Zadrukowanie masy bibuły wodnistemi elukubracyami nie wiedzie wcale do celu. Jakiż interes może budzić takie pismo? Niech jasno i otwarcie wypowiada jakie hasło, to skupi obok siebie jego wyznawców i odda społeczeństwu przysługę; ale niech nie kołysze do snu drzemiących, bo samo zaśnie—na zawsze.

Tyle pism w Galicyi doświadczyło na sobie zgubnych skutków zapoznawania tej prawdy a przecież nowe uparcie wkraczają na tę samą drogę. *Przegląd społeczny* pono zamierza skupić około siebie poroz-praszanych wyznawców zasad postępowych. Zobaczymy.

Leszek.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Th. Ribot. **Dziedziczność psychologiczna.** Tłomaczenie z 2-o wyd. francusk. p. St. Bartoszewicza. Warszawa, 1885.

Nie pierwsza to już praca koryfeusza współczesnej psychologii francuskiej, jaką otrzymujemy w naszym języku, chociaż pierwsza w przekładzie zupełnym i sumiennym. Wydana bowiem przed kilku laty *Psychologia pozytywna w Anglii* uległa smutnemu losowi, który u nas niejedno-krotnie książkę obcych autorów spotyka: dostała się jednemu z ambitnych tłomaczów, którzy nie mogą wydać przekładu, aby oryginału nie popsuć, coś zeń wyrzucając, coś dodając swojego, i to w samym tekście, a w ten sposób zatracając cechy, często wartość przekładanego dzieła. A wydawcy *Dziedziczności* szczęśliwy dali początek, bo tuż za nią poszły *Choroby woli* i *Choroby osobowości* w wybornym przekładzie J. K. Potockiego.

Autor *Dziedziczności* — nie jest to umysł zbyt wybitny; ani oryginalny, ani głęboki, przyswoił sobie jednak dobrą metodę, ściśle pozytywną i trzyma się jej niewolniczo, co zdaje się trudno mu nie przychodzi, przy braku zdolności do szerszych uogólnień i śmielszych hypotez. Nie robi wprawdzie własnych postrzeżeń, ani doświadczeń, lecz posiada dość znaczną erudycyę i rozległą znajomość nowożytnej literatury przedmiotu, co pozwala mu gromadzić i umiejętnie oceniać postrzeżenia cudze. Otóż dwa te przymioty — dobra metoda i znajomość źródeł, są już dostateczne, aby każdą pracę Ribota uczynić w wysokim stopniu pożyteczną i interesującą. Cokolwiek napisze, nie czekając zdania krytyki, śmiało czytać można, z tą pewnością, iż znajdziemy materyał faktyczny, do jakiego inaczej nigdybyśmy może nie trafili.

To samo mniej więcej powiedzieć można i o obecnej pracy, która największe dotąd powodzenie zjednała autorowi w świecie naukowym. Jeśli pominiemy dzieła, dotykające specyalnych punktów zagadnienia, jak Galtona—o dziedziczności gieniuszu (*Hereditary Genius*), De Candolle'a—o dziedziczeniu zdolności naukowych (*Histoire des sciences et des savants*), Jacoby—o dziedziczności zwyradniającej (*Etude sur la séléction*), to w żadnem z dzieł nowszych nie znajdziemy równie dokładnego i tak różnostronnie przedstawionego obrazu całego przedmiotu, jak w książce Ribota. Zaznaczywszy pokrótce dziedziczenie fizyologiczne, tj. przenoszenie się cech budowy organizmu i czynności życia roślinnego, opowiada następnie fakty, dotyczące dziedziczenia psychologicznego, które zbyt może skrupulatnie oddziela od pierwszego. Przechodząc dalej od zjawisk najprostszych do bardziej złożonych, przytacza fakty dziedziczenia w zakresie instynktów, wrażeń zmysłowych, zdolności rozumowych, uczuć i charakteru. Na podstawie tych danych wyprowadza uogólnienia, czyli „prawa dziedziczności," poczem zastanawia się nad skutkami dziedziczności w życiu umysłowem, w moralności i w stosunkach społecznych, nakoniec przytacza główniejsze hypotezy, dotyczące przyczyn dziedziczności.

Zważywszy, iż dziedziczenie jest zjawiskiem podstawowem i powszechnem w całym świecie istot żyjących, zrozumiemy, iż wyprowadzanie następstw tego zjawiska dać mogło autorowi sposobność do dotknięcia mnóstwa ważnych i zasadniczych pytań naukowych. Z tego też względu dla zwykłego czytelnika praca R. ma nietylko wartość specyalnego traktatu: znajdzie on w niej zarazem wiele kwestyj ogólnych, umiejętnie postawionych i objaśnianych, wiele elementarnych wiadomości z psychologii, których w braku odpowiedniego podręcznika trudno znaleść u nas gdzieindziej. Tak np. mówi autor o stosunku duszy i ciała, o tworzeniu się wrażeń zmysłowych, treści tego, co nazywamy „ja," o formach umysłu—przestrzeń, przyczynowość, o genezie pojęć i uczuć moralnych itp.

Przekład pod względem treści, o ile zauważyć mogliśmy, jest ścisły i poprawny. Niestety, powiedzieć tego nie można o stronie jego zewnętrznej. Nazbyt często widocznem jest łamanie się z trudnościami słownictwa i frazeologii, tok mowy, często nienaturalny lub niepolski, czasem wprost ciemny (np. „rozwojowe to powstanie form myśli, które teorya transformistyczna umieszcza w przestrzeni, świat cały przyjmuje w osobniku" s. 245); nie brak też błędów gramatycznych (np. 4 prz. zamiast 2 po przeczeniu) lub pewnych dziwactw językowych, jak „środek ten jest *chory w zasadzie*" (312) lub „przez nią (dziedziczność) nasza osobistość związaną została z ostateczną przyczyną wszechrzeczy, *naprzełaj* nieskończonego *powiązania konieczności*" (336).

J. W. D.

LIBERUM VETO.

Dowody życiowe. — Grąbczewski — antipozytywistą. — Wnioski według metody pozytywnej. — Garniturek księży. — Spór bez końca. — Wyrzut i objaśnienie. — Rdzeń prenumeraty. — Pisma na wzór starych dworów. — Obłęd Lwowa na benefis Mierzwińskiego. — Zarazek teatralny. — Skromność p. Wisnowskiej. Prawdopodobne usługi. — Obawa stańczyków.

Trzeba być tylko cierpliwym, a życie samo logice dowodów dostarczy. Kto nie słyszał świadkami i przysięgą popartych aktów oskarżenia, że pisma postępowe podrywają moralność i uzuchwalają złe popędy, że człowiek bezbożny „odważy się na wszystko" — itd? Tymczasem życie, ilustrujące wartość rozmaitych teoryj, co przedstawi jakiego zbója lub złodzieja, to zawsze zaznacza w jego rysopisie moralnym, że niezmordowanie walczył z „pozytywizmem warszawskim." Antipozytywistą był Rembertowski, antipozytywistką była zabójczyni matki Bałuckiego, antipozytywistami również Krzeczkowski i Grąbczewski. (A czy tam ktoś jeszcze z konserwatywną chorągwią do tego „obozu" w ostatnich dniach nie przybył?). O owym p. Grąbczewskim donosi nam osoba całkiem wiarogodna: „Był to zapamiętały nieprzyjaciel Waszej *Prawdy* i wszystkich pism liberalnych. Pytany i niepytany popisywał się z nienawiścią do „materyalizmu" i z przywiązaniem do „tradycyi." Skutkiem tego miewał nawet częste starcie z żoną, kobietą światłą, której zabraniał czytywać książki i wydawnictwa peryodyczne barwy postępowej. Raz w gniewie podarł numer Waszego tygodnika, złorzecząc mu i wykrzykując, że takie pisma niszczą moralność."

Od naszego zapienionego konserwatyzmu nie przejmuję żadnej broni, nawet płacenia pięknem za nadobne, nawet zwyczaju wyprowadzania krzywdzących wniosków o jakiejś teoryi z jej praktycznych zastosowań. To jest zajęcie literackiej kanalii, która u nas mnoży się coraz bardziej i swoje pole należycie uprawia. Nie mogę jednakże pominąć sposobności zalecenia konserwatystom naszym metody... pozytywnej. Uczy ona tak: jeżeli jakieś lekarstwo, mające uzdrawiać ludzi z wszelkich chorób, w wielu wypadkach nie zapobiega śmierci, to znaczy, że ono nie zawsze jest skutecznem. Innemi słowy: jeżeli mieszanina pobożności, konwenansu, tradycyi, umysłowego poddaństwa i odrazy do postępu nie powstrzymuje często od zabójstwa i kradzieży, to znaczy, że owa mieszanina nie jest pewnym środkiem podtrzymania moralności. Na odwrót: jeśli ludzie, czytający wolnomyślne książki i wyznający liberalne zasady, są uczciwymi członkami społeczeństwa, „pozytywizm" nie musi być szkodliwym moralnie. Fakty, których nikt przekreślić i wywabić nie zdoła, przekonywają o tem niezbicie. Otóż żądam jedynie, ażeby przed oczami naszych konserwatystów, rzucających klątwy na „bezwyznaniowość i materyalizm," stawały zawsze duchy Rembertowskich, Krzeczkowskich, Grąbczeskich itd. (A czy tam ktoś w ostatnich dniach do nich nie przybył?). Duchy te wytrącą piorun z mściwej ręki i oszczędzą nam niedorzecznych grzmotów, które tak często huczą w naszej prasie. Myli się zaś *Przegląd katolicki*, który przy tych wyrazach szepcze sobie: „mnie te upiory ust nie zamkną, bo w życiu (cywilnem) modliły się za mało;" mógłbym tu bowiem postawić śliczny garniturek znanych księży, którzy modlili się i modlą bardzo dużo, a jednak... *Przegląd* wie, o jakim garniturku mówię, bo sam by go chętnie stłukł po cichu.

Aż dwa tygodniki *ilustrowany* i *powszechny* ukazały mi głębokie rany, które im zadałem w okolicach serca „pałaszowem cięciem" w „nieoględnej" i „gołosłownej" szermierce z warszawskiemi ilustracyami. Wiatr mleć a spory artystyczne prowadzić — to jedno. Gdybym był chłopem pańszczyźnianym i otrzymał ze dworu rozkaz polemizowania w kwestyach sztuki, błagałbym dziedzica: panie, wolę przez trzy dni nad obowiązek łąkę bibułą osuszać. Bo jak tu dojść do ładu, skoro Paweł w „Husie" Brozika widzi natchnienie religijne a Gaweł — katar żołądka? Wyszukajcie dwu ludzi z jakiegokolwiek miejsca i czasu, którzy spierając się o obraz lub rzeźbę, doszli do zgody, a Bóg wskrzesi ich, jeśli umarli, i powie do żywych: idźcie co prędzej i rozmnażajcie, bo więcej takich niema. Ani ja, ani pp. Quis i St. M. Rz. nie należą zapewne do tych unikatów, więc pozostawmy potomności nierozstrzygniętem pytanie: czy ilustracye warszawskie odbijają dostatecznie chwilę i dorównywają zagranicznym, czy też nie. Jest faktem, że masa ludzi ciekawych ciśnie się w zasobniejszych cukierniach do obrazkowych wydawnictw niemieckich, francuskich i angielskich dla obejrzenia w nich rysunków bieżących, których miejscowe pisma albo nie dają, albo dają spóźnione. Zaznaczając ten fakt, nie myślę nikomu robić wyrzutu, lecz tłomaczę objaw obojętności dla wydawnictw swojskich. Gdyby ktoś nawet założył ilustracyę, w której by podawał wyłącznie staloryty kurników, nie zasługiwałby na żadną naganę, bo taką obrał sobie specyalność a każdemu wolno z niej korzystać lub nie. Toż samo prawo osłania tak często unieśmiertelniane u nas kościółki i dworki. Ale upada ono, skoro wydawcy tych rysowanych dworków i kościółków dziwią się lub narzekają, że one mniej budzą w publiczności zajęcia, niż obrazy wypadków współczesnych. Rdzeniem pacierzowym wszelkiej prenumeraty jest ciekawość: jeden abonuje pismo dla nowin naukowych i społecznych, drugi — dla politycznych, trzeci — dla giełdowych, czwarty — dla oglądania tego, co go w danej chwili zajmuje. Wystawmy sobie nie Mickiewicza lub Śniadeckiego, ale zwykłego człowieka, który przez trzydzieści lub pięćdziesiąt dni z rzędu czyta w gazecie politycznej o Stranskym lub znieważeniu poselstwa niemieckiego w Madrycie: czy dziwne, że on wreszcie zapragnie obejrzeć w wizerunku owego Stranskego i ów rozruch uliczny? Zagraniczna ilustracya poda mu nawet portret... Krzeczkowskiego. (A czy nie przybył mu w ostatnich dniach towarzysz w rzemiośle?). Nasza prasa przypomina dotąd stare nasze dwory wiejskie, w których wyrabiano miód, piwo, sukno, płótno — wszystko, a do miasta posyłano tylko po pieprz, igły i koperwas. Każde peryodyczne wydawnictwo polskie chce być całą literaturą. Kuryery zamieszczają zeszłoroczne rozkłady pociągów, ale za to rozprawiają o filozofii. Podobnie ilustracye usiłują być organami krytyki, socyologii, przyrodoznawstwa, zbiornikami belletrystyki, podróży itd.; za granicą są niemal wyłącznie albumami wizerunków z objaśniającym tekstem — i dlatego właśnie mogą silniej rozwijać swą specyalność.

Już i *Kuryerowi warszawskiemu* za dużo tego zapału, którym Lwów uczcił p. Mierzwińskiego. Gdybym nie obawiał się pozwu, zobowiązującego mnie do „zacytowania numerów," przypomniałbym owe artykuły o futrze tenora, owe szczyty w rodzaju: wczoraj na placu Teatralnym rozległ się huk — sądzono że eksplozya, a to Mierzwiński wyrzucił z okna swoje *cis*. Naturalnie Lwów, naczytawszy się takich „szczytów," mógł doznać zawrotu głowy, zobaczywszy w swych murach najsłynniejszego dziś—polaka. I doznał. Wielbiciele śpiewaka nie dusili się przed jego mieszkaniem, jak szwedzi przed mieszkaniem pani Nilson, ale za to—wydali „jednodniówkę." Które z tych dwu głupstw jest cięższe — nie badam, bo nie mam tak olbrzymiej wagi. Chcąc je porównać, trzeba dostać bodaj chwilowego obłędu — teatralnego furyactwa. Nie pierwszy to paroksyzm. Pamiętam, że w Poznaniu wznoszono zapalczywe toasty na cześć p. Modrzejewskiej jako „przewodniczki młodzieży polskiej." Zresztą nie krzywdźmy siebie. Jeżeli szwedzi, naród trzeźwy i rozumny, duszą się dla śpiewaczki, czemuż my nie mielibyśmy waryować i wydawać „jednodniówki" dla Mierzwińskiego? W dzisiejszej atmosferze moralnej unosi się pewna ilość zarazków teatralnego bzika, który zaraża słabo odporne organizmy ludzkie zarówno nad Sekwaną i Tamizą, jak nad Wisłą. Daremne tu są wszelkie dowodzenia. Alboż tylko ta epidemia udziela się szybko i leczy trudno? Usiadł na wilgotnej trawie człowiek spokojny, z silną wolą. Nagle uczuwa dreszcze i zaczyna się trząść. Czy będziemy mu wyrzucali, że nie może nad sobą zapanować? Dostał febry i trząść się musi. W podobnym stanie widzimy Lwów, któremu Warszawa zbadała puls i dostrzegła mocną gorączkę.

Chciałbym jednak odczytać jego malignę, spisaną w „jednodniówce." Nabredził biedak pewnie, nabredził! Dla psychologii ciekawy to materyał.

Przyznajmy, że sławni śpiewacy i aktorzy obu rodzajów są ludźmi wielkiej skromności, jeżeli po takich hołdach zachowają z niej odrobinę uznania dla Arystotelesa, Kopernika, Darwina, Goethego, Mickiewicza, Matejki. Panna Wisnowska mogłaby się codzień przejechać po Alejach Ujazdowskich karetą, zaprzężoną w ośmiu młodzieńców z paradyzu, a używa zwykłej dorożki. Cóż dopiero mówić o Mierzwińskim! Gdyby zechciał, krytycy zanieśliby go w lektyce do kąpieli, wymydlili i wytarli całego ręcznikami. Gdyby tylko szepnął we Lwowie: „moi kochani, zróbcie mi wielką przyjemność, zaprzestawszy swarów z rusinami" — z pewnością dziś zapisalibyśmy do historyi unię Polski z Rusią. Taka jest magiczna potęga wysokiego *cis*! Szkoda, że tej potędze nie ulega hr. Taaffe. Galicya wysłałaby p. Mierzwińskiego do Wiednia, gdzie wyśpiewałby jej regulacyę rzek.

P. S. Stańczycy krakowscy zamierzają protestować przeciwko wysokiemu *cis* we Lwowie, które może naruszyć „prawidłowy stosunek Galicyi do monarchii."

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Opieka nad pracą małoletnich. — Odnośne sądy dziennikarstwa i głodnych żołądków. — Sprawa oświaty przymusowej. — Izrael szukający kości. — Jeszcze z powodu wydaleń: pociecha w smutku i smutek w pociesze. — Ukrywanie dziesięcin. — Początek końca serwitutów na Litwie. — Nowe sądy.

W chwili obecnej kilka tysięcy dzieci polskich zastanawia się nad sprawami gospodarstwa społecznego. Nie mówię tu o młodocianych umysłach, którym dziennikarstwo nasze nadaje niekiedy godność „naszych znanych ekonomistów," lecz o zamorusanych Grzelach, Jaśkach i Jontkach— którzy brudnemi rękami zdobywali czyste zyski dla właścicieli fabryk, dla przemysłowców. Z d. 13 b. m. weszła w wykonanie ustawa, rozciągająca opiekę nad pracą małoletnich robotników. *Wiekowi* „słuszność przyznać każe, że pomimo całej użyteczności nowego prawa w niektórych miejscowościach przemysłowych zostało ono przyjęte nieprzychylnie, zarówno przez właścicieli zakładów, jak i przez ludność roboczą. Pierwsi zarzucają, iż prawo

o nieletnich pozbawia ich taniego robotnika, drudzy znowu skarżą się, iż pozbawia ono rodzinę zarobku, który dotąd pobierały dzieci, pracujące po fabrykach razem z ojcem lub matką.“ Rozkazy, jakie „słuszność“ daje *Wiekowi*, są bardzo łagodne.

Nie trzeba się łudzić, że „zmniejszona podaż rąk“ podniesie płacę ojców i matek tak szybko i w takiej mierze, w jakiej zmniejszyło ją przymusowe bezrobocie małych pomocników. Jakiekolwiek korzyści z nowego prawa osiągnie w bliższej lub dalszej przyszłości nasz stan robotniczy, nie należy zapominać, że okupi on je znaczną sumą cierpień, których powody nietylko w „płytkości opinii“ spoczywają, a na które lekarstwa nietylko w sprostowaniu przez inspekcyę błędnych sądów szukać należy.

Jeżeli nie godzimy się z ekonomistą *Wieku*—w ocenie głębokości „opinii,“ za to uznajemy jego poglądy na sprawę kształcenia uwolnionych od ciężkiej pracy nieletnich robotników. „Na Zachodzie *zakaz* pracy połączony został z *przymusem* nauki, i dzięki temu nikogo nie dręczy tam zagadnienie—co robić będą dzieci wydalone z fabryki?“ Odpowiedzi na takie pytanie dostarczają tam szkoły. Takiego rozstrzygnięcia sprawy pragnie i dla nas sprawozdawca *Wieku*.

Rozpraszanie naszej ciemnoty niechby się już w jakikolwiek sposób rozpoczęło. Wtedy tylko pisma nasze przestaną podawać takie jej przykłady, jakich dostarczyło w ubiegłym tygodniu—nie zapadłe miasto, ale powiatowe miasto gubernii Kieleckiej — Włoszczowa. Przed kilku tygodniami—opowiada *Gazeta kielecka*—grabarz cmentarza starozakonnych zauważył że groby na kierkucie są naruszone i doniósł o tem miejscowemu rabinowi. W trakcie tego jeden z włoszczowskich żydów, przebywając za interesami w sąsiedniej wiosce Czarncy (?), dowiedział się z opowiadań krążących między ludem, że jakichś niebosczyków rznięto w pobliskiem lesie. Dokonana ekshumacya wykazała, że jednemu z trupów obcięto jedną, a drugiemu obie nogi. Ponieważ zarządzone śledztwo żadnych śladów nie wykryło, przeto rabin miejscowy na znak żałoby nakazał pozamykać wszystkie sklepy—aż do czasu wynalezienia kości nóg nieboszczyków. Przez jakiś czas „wszystkie kramy i sklepy“ były zamknięte, a kilkudziesięciu żydów rozeszło się dla poszukiwań po sąsiednich lasach.. Dalej następuje wiadomość o powszechnem oburzeniu na sprawców tego „szkaradnego“ czynu, który nie omieszkanoby zapewne nazwać świętokradztwem, gdyby kości pochodziły nie z kierkutu. Nieszczęśliwe członki znaleziono podobno, sklepy i kramy otwarto, oburzenie napełnia jeszcze Włoszczowę i jej okolice, ale szkaradny czyn pozostałby dla europejczyka, ciemną zagadką, gdybyśmy nie zapewnili go, że z tłuszczu trupów—oprócz wielu innych preparatów—robią się u nas wyborne świece złodziejskie, tj. takie, przy których świetle można kraść z całą swobodą. Nie jestem przesądnym. Złodziejstwo jednak i rabunek praktykuje się u nas tak często i tak bezkarnie, że, jak mówią początkujący wolteryanie: „jednakże... jest *coś* w naturze.“

W naturze mieszkańców powiatu rypińskiego jest coś, co zawsze naznaczało ich piętnem niewinnej prostoty. Głos jej odzywa się właśnie teraz w szczerem wyznaniu korespondenta *Gazety warszawskiej*. „Boleść, jaką nam sprawia bezwzględne rugowanie z Niemiec naszych krajowców, w okolicy pogranicznej łagodzona cokolwiek była względami samolubnymi.“ Właściciele ziemscy spodziewali się tam, że wypędzeni z prus wyrobnicy—powiększą ilość potrzebnych a zbywających rąk roboczych. Złudzeniu temu położył koniec landrat powiatu Ostrzeszowskiego, który... wydał rozporządzenie dozwalające robotnikom z Królestwa polskiego przechodzić przez granicę do Prus i najmować się do robót w polu.

Z dalszych wieści zaznaczyć tu wypada wprowadzenie na Litwie przymusowej ochrony lasów prywatnych. Reforma ta—jak donoszą dzienniki—silny wpływ wywrze na stan służebności leśnych i pastwiskowych. Władza miejscowa—dotychczas dość opieszale sprawy te prowadząca—teraz podobno z większą do nich bierze się energią. Jeżeli gdzie—to na Litwie i Białej rusi serwituty były mętną wodą, w której złapane ryby ani miejscowemu obywatelstwu, ani wieśniakom się nie dostawały. Sprawy sporne między dworem i chatą o grunta i pastwiska—rozstrzygać teraz będą nie sędziowie pokoju, jak dotąd, lecz komisarze włościańscy. Panowie ci — są więc znowu wystawieni na próbę: gorliwe spełnienie obowiązków kłóciło się w nich przez lat przeszło dwadzieścia z interesem osobistym, czy teraz będzie inaczej—zobaczymy!

J. Nieborski.

TYDZIEN POLITYCZNY.

Warszawa, d. 22 października.

Wirowy ruch wypadków na półwyspie bałkańskim, o którym wspominaliśmy w ostatnim przeglądzie politycznym, powstrzymany został na chwilę zgodnym naciskiem mocarstw europejskich na Serbię i Bułgaryę.

Posłowie europejscy wezwali bułgarów, aby nie gromadzili wojsk na granicy tureckiej i zaniechali dalszych uzbrojeń, gdyż nie mogą liczyć na poparcie mocarstw, gotowych co najwyżej przyzwolić na osobisty związek Bułgaryi z Rumelią przez zamianowanie ks. Battenberga generał-gubernatorem Rumelii. Wezwanie powyższe, które Porcie bardzo się podobało, musiało księciu Battenberg mniej się podobać, lecz nowy władca zjednoczonych bułgarów obawiając się, i słusznie, że, jak mu to podobno Bismark przepowiedział, po tronie bułgarskim mogą mu tylko pozostać w razie nieposłuszeństwa przyjemne wspomnienia, postanowił przyjąć w pokorze ową radę a raczej rozkaz konferencyi i wojska z granicy tureckiej cofnął.

Mniej uległą okazała się Serbia. Przyrzeczenie niektórych okręgów bułgarskich nie zadowoliło rządu serbskiego. Król Milan odpowiedział podobno, iż chętnie słucha rad Europy, o ile uważa, iż Europa dobrze radzi, lecz wezwaniom sprzecznym z interesami jego państwa zadość nie uczyni.

Europa zatem królowi Milanowi nie imponuje; tem mniej więc może mu imponować Bułgarya, i nic dziwnego, że dumny władca serbów nietylko nie udzielił posłuchania posłowi bułgarskiemu Grekowowi, który miał wręczyć list księcia bułgarskiego z zapewnieniami o przyjaznych uczuciach dla serbskiego narodu, lecz nawet przyczyn odmowy wyjaśnić nie raczył.

Fakt podobny w stosunkach międzynarodowych wywołuje zwykle wojnę, lecz Bułgarya i Serbia są zaledwie kandydatami na narody, a przytem książe Battenberg, któremu *bezkrwawa* rewolucya tak pomyślnie się udała, w możność *bezkrwawej* wojny chyba nie wierzy, a *krwawa* widocznie wcale go nie nęci.

Wypadki na półwyspie bałkańskim nie pochłaniają już dziś całkowicie uwagi świata politycznego, i dawne a nie rozstrzygnięte jeszcze kwestye, jak np. zatarg niemiecko-hiszpański, zaczynają znów zajmować umysły.

Reichsanzeiger zamieścił notę rządu niemieckiego, oświadczającą, iż Niemcy nie mogą uznać praw Hiszpanii do zwierzchnictwa nad wyspami Karolińskiemi. Nota kończyła się przypuszczeniem możności porozumienia się stron obu na podstawie *nieograniczonej wolności* handlowej. Hiszpania jednak ku wielkiemu zdziwieniu i zmartwieniu rządu niemieckiego nie chciała oddać Karolin Niemcom w zamian *za wolność ograniczoną* i rokowania na tej podstawie spełzły na niczem.

We Francyi wśród obozu republikańskiego wielka zapanowała radość. Podczas wyborów uzupełniających wyszło z urn tylko dwudziestu kilku monarchistów, a republikanie pozyskali blisko dwieście mandatów. Okazało się ostatecznie, że 55 departamentów głosowało w duchu republikańskim, 26 w duchu monarchicznym, a w ośmiu głosy się podzieliły. Partya republikańska składać się będzie z 69 bonapartystów, 73 orleanistów i 59 niezdecydowanych. Pomiędzy republikanami znajduje się 150 radykalistów i 223 umiarkowańszych. Ugrupowanie to, rozumie się, nie jest jeszcze stanowczem i dopiero po ułożeniu tak zwanych biur parlamentarnych da się ściślej określić.

Pomyślny rezultat wyborów ma tem donioślejsze znaczenie, iż 2 grudnia r. b. zbierze się kongres dla wyboru prezydenta.

Wybory do parlamentu angielskiego rozpoczną się w d. 17 listopada, Anglia zalewana więc jest powodzią mów agitacyjnych. Najwięcej interesu budzą przemówienia Parnella, który żąda dla Irlandyi autonomii z odrębnym parlamentem oraz zmniejszenia czynszów dzierżawnych o 30—40%.

Tymczasem w Indyach nieporozumienia między rządem królowej Wiktoryi a sułtanem Birmy zaszły tak daleko, iż zbrojne starcie (a może i podbój Birmy) wydaje się być nieuniknionym, co znów interesom francuskim bezpośrednio zagraża.

Oby tylko Birma nie odegrała podczas wyborów angielskich roli Tonkinu we Francyi.

CUDZE GŁOSY.

Świt w życiorysie Bartusówny, która pełniła obowiązki nauczycielki, maluje niezmiernie wymowny obrazek galicyjskiej szkoły wiejskiej. Oto, co poetka znalazła po przybyciu na miejsce.

„Zima była, zawieja, śnieżyca. Ustronnej szkoły nie sposób było odszukać. Brnęły szkapy po piers w zaspach nieprzetorowanych śniegów, aż wreszcie dowlokły się do jakiegoś białego pagórka, który jako szkołę przybyłej wskazano.

Trzeba było ludzi zwołać, wziąć się do łopat, do szufli, i tak szczęśliwie odkopano po kilkogodzinnej pracy sławetną szkołę w Nienadowej, z której poprzednik Bartusówny uciekł, spaliwszy ostatnie przęsło z ostatniego płota i ostatnie drzewko z sadu.

W środku pustka. Izba czarna, stęchlizną zieją, komin Bóg wie odkąd nie widział ognia, ze wszystkich kątów mróz wyłazi na ściany, zamiast podłogi—klepisko.

Ani stołka, ani stołu, ani ławki Było to wszystko kiedyś, ale poszło na ogień za „tamtego.“

Taka była inauguracya nowego promyka oświaty w Nienadowej.

Rankiem przybywa gromada dzieci. Brudne, zbiedzone, obdarte. Przysiadają w kucki na wilgotnem klepisku i rozpoczyna się lekcya. Wkrótce jednak tak uczniowie jak i nauczycielka zaczynają *unisono* szczękać zębami.

Oburzona zrazu wandalizmem poprzednika swego, zaczyna go Bartusówna potrosze rozumieć.

Po południu wchodzi świeża gromada starszych już wiekiem wyrostków i dziewcząt. Nauka i szczękanie zębami rozpoczyna się na nowo; skurczeni słuchacze biją w pięście i tupią w klepisko piętami, zdobywając wiedzę wraz z febrą, która w takich warunkach łatwiej jakoś od wiedzy przychodzi. Młoda nauczycielka nietylko w zupełności rozumie, ale usprawiedliwia nawet w duchu poprzednika swego. Chwilami bierze ją ochota wstąpić w jego ślady, ale, niestety, w szkole i dokoła szkoły nie pozostało już nic do spalenia.

Wieczorem nowy kontyngens słuszniejszych jeszcze dziewcząt i chłopaków. Ci już pracują na przyodziewek, przybywają też w kożuszkach; klepisko i ściany zaczynają rozmarzać potrosze. Nauczycielka upada ze znużenia, głos jej drętwieje i chrypnie. Tak upływa tydzień. W niedzielę zbiera się cały uniwersytet w komplecie. Dziatwy różnego wieku, od drobiazgu aż do poganiaczów, jest sztuk ze dwieście może. W szkole zaczyna się najpierw robić cieplej jakoś, potem duszno, wreszcie powietrze staje się nie do zniesienia. Otwierają się tedy drzwi na oścież mrozowi, a para bucha z izby, jak z owczarni.

Z jednej strony dmie zawieja, z drugiej ciepłe oddechy stłoczonej dziatwy przyprawiają o zawrót głowy; nauczycielka opowiada, jako stworzył Pan Bóg słońce, aby oświecało i ogrzewało ziemię, i to ją nieco pokrzepia."

PRASA ROSYJSKA.

Moskowskija Wiedomosti porównywają wojny prowadzone przez Rosyę w XVIII wieku, z wojnami bieżącego stulecia i wyciągają wniosek na niekorzyść dzisiejszych:

„Następstwem wojen z XVIII wieku były liczne i bogate podboje, wzdłuż i wszerz rozwielmożniające Rosyę. Podbiliśmy ogromną strefę Oceanu Lodowatego, a od niej, idąc niżej, cały pas zachodzi od gubernij Twerskiej, Nowogrodzkiej, Pskowskiej, Smoleńskiej i Czernihowskiej, i jeszcze niżej, poniżej gubernii Woronezkiej do morza Czarnego, i obszary kaukazkie. Te olbrzymie przestrzenie, stanowiące dziś przeszło trzecią część Rosyi, były zamieszkane przez różne plemiona, które dziś zlały się mniej lub więcej z rosyanami, a na południu proces ten odbył się tak pomyślnie, że dziś byłoby śmiesznością pytać, czy rosyjskiemi są gubernie: Ekaterynosławska, Chersońska lub Taurycka? Inaczej z wojnami XIX wieku. Tych rezultaty nietylko są niepodobne do zeszłowieczuych, lecz są wprost ujemne. Najprzód narobiliśmy długów, o jakich przodkowie pojęcia nie mieli, długów bajecznych, których ciężar dotknie naszych potomków, przygnębionych niemożnością ich spłacenia. Następnie za tę cenę nawet nie kupiliśmy sobie spokoju; przeciwnie, kupiliśmy sobie mnóstwo drobnych nieprzyjaciół, z których już dwa razy z jednym musieliśmy się rozprawiać i z pewnością będziemy musieli jeszcze rozprawiać się z pozostałymi. Dwa razy rozprawialiśmy się z Polską, z której po wojnie z Napoleonem zrobiliśmy na pół niezawisłe państwo. Wojna szwedzka dała nam w roku 1809 Finlandyę, z powodu której też z pewnością doczekamy się wojny... Trzy wojny tureckie dały nam cztery państewka konstytucyjne, które, jak Rumunia i Grecya, już całkiem się odwróciły od Rosyi, albo też, jak Serbia i Bułgarya, obiecują nam uczynić to w bliskiej przyszłości. I dlaczego to wszystko, jaki tego jest powód? Dlaczego zamiast prowadzenia dalej rozumnej polityki XVIII wieku, uczepiliśmy się oryginalnej polityki krzewienia wszędzie konstytucyj, które potem sami musimy burzyć, i to z trudem jeszcze większym, aniżeli go było potrzeba na owo krzewienie?.. Śmiem być zdania, że przyczyną jest to mianowicie, że w XIX wieku zaczęliśmy zbyt wiele czytać, a zaprzestaliśmy... myśleć."

St. Petersburger Zeitung podaje kilka „zdrowych" — jak je nazywa — uwag w kwestyi polityki narodowościowej, wypowiedzianych przez miesięcznik rosyjski, *Russkaja Myśl*. Ostatnia słusznie bardzo utrzymuje:

„że państwo nie jest powołane bynajmniej do przerobienia danego plemienia na inne, taka „przemiana gatunków" jest dla państwa jako takiego całkiem bezcelowa; mając za główne zadanie rozciągać opiekę nad jednostkami, z natury rzeczy opiekować się winno całością tego, co stanowi dobytek duchowy tychże jednostek, ich prawami, odrębnościami i właściwościami narodowemi; o ile tem wszystkiem państwo ostatecznie się zaopiekuje, liczyć może na silne poparcie ze strony jednostek, we wszelkich celach państwowych; jednem z najdroższych zaś praw jest bezzaprzeczenia prawo jednostki do mówienia i uczenia się w swoim języku, rzecz, która w guberniach nadbałtyckich bez niedobrych dla państwa skutków przeprowadzić się nie da."

Nowoje Wremia wygłasza niezmiernie ciekawe poglądy w przedmiocie, pożądanej, zdaniem tej gazety, rusyfikacyi prowincyj nadbałtyckich.

„Wynurza się drażliwa strona przedmiotu, budząca chyba wspomnienia o dawniejszym stanie rzeczy w kraju zachodnim. Jakiemi będą, zwłaszcza w początku, stosunki przybyszy-urzędników rosyjskich do miejscowego, niemieckiego ogółu, i za kogo ten ostatni będzie miał nowoprzybywających? Odpowiedź nie nasuwa wątpliwości: stosunki z mniejszością niemiecką będą zaiste wrogie, jeżeli nie jawnie, tedy przynajmniej skrycie ze strony niemców. Jeżeli zaś ci nowoprzybywający winni być gotowymi do znoszenia pewnej nieprzyjaźni ze strony nadbałtyjczyków — nieprzyjaźni, zdolnej niekiedy w drobnostkach zatruć życie powszednie albo mocą stosunków niemieckich zepsuć karyerę służbową, iluż się w takim razie znajdzie ludzi uzdolnionych i dzielnych, szczerze-rosyjskich, coby się nie zawahali podjąć takiego zadania? A przecież z tego jedynie punktu zapatrywania możliwem jest powodzenie w pociągnięciu sił rosyjskich do służby w kraju nadbałtyckim. Jeżeli wszakże iść będzie o to, ażeby zwabić je, pomijając cele patryotyczne i moralne, innemi drogami, na wzgląd przywilejów służbowych itp., czego przykłady mieliśmy w guberniach polskich, wówczas znacznie nadzieja powodzenia osłabnie. Na lep przywilejów, wzmocnionych pensyi itd. mogą się też pójść kwapić ludzie, zgoła nieprzydatni do utrzymania godności imienia rosyjskiego. Opłakane tego skutki widzieliśmy gdzieindziej, a względem niemców naszych więcej jeszcze ostrożności i nieskazitelności potrzeba, aniżeli śród polaków nawet — po ich właśnie powstaniu. Jest tedy pożądanem, ażeby sprawa ta była postawioną trwale. Dlatego więc rosyanie, udający się tam na posady, a wyznaczani podług surowego wyboru, nie powinni służyć tylko za tymczasowe narzędzie do wyuczenia niemców języka rosyjskiego, gdyż wrazie przeciwnym — nawet po dopięciu tego ostatniego celu zawsze nie będą zabezpieczeni przed miejscowemi intrygami."

CIEKAWA KARTKA.

Młodym, bardzo młodym jest nasz kapitalizm, a jednak przeszedł on już epokę rozkwitu, znajduje się obecnie w fazie upadku — ma zatem swą historyę. Niewątpliwie i ten czynnik społecznego życia naszego znajdzie kiedyś swego Szujskiego lub Korzona, a tymczasem, gdy materyał, na którym by się oprzeć można było, nie tylko krytycznie obrobionym, lecz nawet zebranym jeszcze nie jest, przedwstępna praca polegać musi na skrzętnem zbieraniu wszelkich dokumentów, wszelkich szpargałów nawet, mogących rzucić niejakie światło na stosunki przemysłowe i handlowe, trzymane *z zasady* przez interesowanych w najgłębszej tajemnicy. Jeden taki szpargał, jedną luźną kartkę wyrwała niedawno założona *Gazeta losowań* z zamkniętej na siedem pieczęci głównej księgi najpotężniejszego z akcyjnych przedsiębiorstw przemysłowych, istniejącego od lat 10-iu pod firmą: „Lilpop, Rau i Loewenstein."

Co skłonić mogło organ giełdowy do zgwałcenia w danym razie tajemnicy handlowej—sądzić rzecz nie nasza; gazeta zapewnia jednak, że pisze na zasadzie danych autentycznych, zebranych z najpewniejszych źródeł, a że do źródeł tych ma ona łatwiejszy niż kto inny dostęp, powinniśmy więc być jej wdzięczni za dostarczony materyał i nie możemy jej nie wierzyć:

„Na początku lata"—tak zaczyna *Gazeta* swą tajemniczą opowieść—krążyły w sferach giełdowych niekorzystne wieści o stanie interesów towarzystwa przemysłowego Lilpop Rau i Loewenstein. „Póki o przedmiocie tym była mowa w kołach pieniężnych"—kwestya—jak mniema p. Peretz—przedstawiała się „źle, ale nie groźnie;" lecz niebawem „szerszy, najszerszy ogół począł zajmować się tą sprawą...", „fantazyi mówionej i pisanej puszczono niczem nieokiełznane (?) wodze..." „Kurs akcyi stał się nieokreślonym i znikł z ceduły giełdowej..." i „z tematu czysto ekonomicznego wytworzył się rodzaj skandalu publicznego dla rozciekawionej gawiedzi," którego echa odbiły się podobno nawet o deski naszej sceny.

W interesie przemysłu i akcyonaryuszów towarzystwa *Gazeta* podjęła się wyświetlić położenie rzeczy i wyświetla je tak:

„Akcyjne towarzystwo Lilpop Rau i Loewenstein" założone zostało w 1874 r. z kapitałem 2 milionów rubli, z których 1.600,000 tkwiło w zakładach mechanicznych przy ulicy Ś-to Jerskiej, w zakładach przemysłowych w Drzewicy i w fabryce maszyn na Solcu, a 400,000 stanowiło kapitał obrotowy.

Już w pierwszych latach swego istnienia towarzystwo pracowało ze znakomitym zyskiem, gdyż budowa mostu nadwiślańskiego zapewniła mu 16% dywidendy. Następnie umiało skorzystać z panującego wówczas protekcyjnego prądu, polegającego przytem nietylko na cłach ochronnych, lecz i na hojnem udzielaniu rządowych zapomóg, a wyzyskując to przychylne dla wielkiego przemysłu usposobienie sfer ministeryalnych, wyjednało sobie naprzód obstalunek 3,000 wagonów po znakomitej, prawie niesłychanej cenie 1,350 rs., dalej wyciągnęło *a conto* tego zlecenia czteromilionowego 1,000.000 rs. tytułem zaliczki—i wreszcie otrzymało z Banku państwa pożyczkę 1,000,000 rs. w 5% obligacyach. Jakkolwiek na odbiór należności za dostarczone wagony długo nieraz wypadało czekać, lecz wyczekiwanie ułatwiał paromilionowy kredyt, którego firmowi spólnicy pp. Rau i Loewenstein oraz banki chętnie wówczas towarzystwu dostarczały.

W takich warunkach interesy jego przyjęły świetny obrót i zapowiadały się w przyszłości jeszcze pomyślniej, gdyż fabryka otrzymała nowy olbrzymi obstalunek rządowy na 1,200,000 pudów szyn stalowych, a skarb na wykonanie tego obstalunku udzielił z góry milion rubli zaliczki. Wypadało zakłady rozszerzyć i, gdyby tak uczyniono, interesy towarzystwa dziś jeszcze znakomicie by stały. Lecz główni jego kierownicy, zamiast rozszerzyć zakłady, postanowili wybudować do spółki z innemi towarzystwami nową fabrykę szyn stalowych na Pradze z kapitałem zakładowym półtora miliona rubli, rozdzielonym na 1.500 akcyj, z których 650 dostało się firmie Lilpop, Rau i Loewenstein, 390 zakładom Starachowickim, 200 fabryce zagranicznej w Ruhrort nad Renem, a 250 przeszło w prywatne ręce i, jak się zdaje, przeważnie w prywatne ręce człowieka,

będącego zarazem głównym akcyonaryuszem, głównym kierownikiem i głównym bankierem towarzystwa.

Fabryka stali na Pradze rozwinęła się jeszcze lepiej, aniżeli zakłady Lilpop Rau i Loewenstein, i dała w pierwszym już roku 30% dywidendy, z której towarzystwo L. R. i L. na swe 650 akcyj otrzymało 195,000 rs. i to samo stanowiłoby już 10% od jego zakładowego dwu milionowego kapitału, gdyby nawet warsztaty towarzystwa nic nie przyniosły. Z tą chwilą rozpoczyna się atoli ujemny okres w działaniach przedsiębiorstwa, a to dla następujących przyczyn.

Trzeba bowiem wiedzieć, że na czele stanęli główni jego założyciele i, rozumie się, prócz oczekiwanej dywidendy wymówili sobie za swą pracę znaczne pensye i olbrzymie tantyemy od zysków.

Tantyemy te przynosiły panom *żerantom*, jak ich nazywa *Gazeta*, tylko *sto do stu dwudziestu tysięcy* rubli rocznie, a więc sumy tak olbrzymie, iż możnaby przypuszczać, że słowo „żerant" pochodzi w danym razie nie od francuskiego *gérant*, lecz od staro-słowiańskiego źródłosłowu.

Dopóki zyski towarzystwa płynęły tylko z posiadanych przezeń zakładów, mniejsi akcyonaryusze na potrącanie tak bajecznych sum na korzyść kierowników musieli się zgodzić, gdyż taka była umowa. Teraz jednak położenie zmieniło się o tyle, że zakłady przemysłowe usunęły się na drugi plan, a kurą, niosącą złote jaja, był ów udział w fabryce stali na Pradze, owe 650 akcyj, które same przynosiły 200,000 rs. dochodu. Akcyonaryusze utrzymywali bardzo słusznie, że od tych 200,000 rubli żadna tantyema panom „żerantom" nie należy się, gdyż stanowią one zysk fabryki stali, do którego administracya tow. i L R. L. w niczem się nie przyczyniła. Po długich zatargach skończyło się na tem, że główni akcyonaryusze rozdzielili między sobą akcye w ten sposób, iż każdy posiadacz trzech akcyj towarzystwa L. R. i L. otrzymywał jednę akcyę towarzystwa stalowego, drobni zaś uczestnicy, mający po jednej lub dwie akcye, ile wówczas istnieli, nic dostali naturalnie nic, gdyż — jak powiada Heine — „kto ma dużo, ten będzie miał więcej, a kto mało, temu i ta cząstka będzie odjęta."

Kwestya olbrzymich tantyem, pobieranych przez panów administratorów, pociągnęła za sobą jeszcze inne zgubne następstwo. Główny inżenier towarzystwa p. Leveque, którego energii i znajomości rzeczy zawdzięczało ono tak świetne powodzenie i który razem z tantyemą pobierał zaledwie 15,000 rubli, uczuł się pokrzywdzonym wobec stutysięcznych dochodów, ciągnionych podczas lat kilku przez głównych administratorów i zażądał podwyżki. Na odmowę odpowiedział dymisyą. Sprowadzono z Belgii nowego naczelnego inżeniera, który zdawał się być bardzo zręcznym, energicznym i pomysłowym, lecz niestety pomysły jego w formie aparatów cukrowych nowej konstrukcyi zostały przez cukrownie zwrócone, jako zupełnie niepraktyczne, a wyrabiane przezeń machiny rolnicze zepsuły tylko pozyskaną przez zakłady w tym kierunku reputacyę. Jednocześnie kierownicy naczelni, bardziej zainteresowani w innych przedsiębiorstwach, nie chcieli, czy nie umieli się starać o obstalunki rządowo, i zakłady musiały wyrabiać dla kolei prywatnych po 800 rs. takie same wagony, za które ministeryum płaciło po 1.350. Na dobitek administratorzy towarzystwa, będący zarazem jego bankierami, odmówili mu kredytu, a gdy dołączyła się katastrofa z mostem dąbrowieckim, w którym znaczne utkwiły kapitały, „oddech towarzystwa"— jak poetycznie mówi *Gazeta losowań*—„został czasowo zatamowanym," co w przekładzie na zwykłą literacką prozę oznacza po prostu, iż towarzystwo chwilowo zawiesiło wypłaty.

Po przeczytaniu tego, cośmy napisali, widzimy, iż streszczenie materyału, dostarczonego przez *Gazetę losowań*, nie jest dostatecznem i że czytelnicy nie wyjdą z tej plątaniny, w której jeden i ten sam człowiek to sobie sam pożycza, to znów odmawia sobie kredytu i, co najzabawniejsze, spiera się z samym sobą o to, ile ma sobie za administracyę swego interesu wypłacać. A jednak rzecz to bardzo prosta. Posłuchajcie:

Bogaty przemysłowiec p. Rau, który naprzód z Lilpopem, a po jego śmierci z biernym udziałem wdowy i czynnym udziałem p. Loewensteina prowadził olbrzymie zakłady przemysłowe—zdecydował się nadać im formę towarzystwa akcyjnego: „Lilpop Rau i Loewenstein." Trzecią część akcyi p. Rau bierze dla siebie, znaczny dział dostaje się Loewensteinowi i obaj, mając już większość głosów, mianują się administratorami z poważną bardzo pensyą i olbrzymią tantyemą od zysków. Zapewniają natomiast towarzystwu przez osobiste wpływy znaczne obstalunki, a także przyrzekają udzielać mu stale kredyt do wysokości miliona rubli.

Osobistość więc p. Rau występuje tu pod trzema postaciami: Rau kapitalista czyli Rau „sam w sobie"—dalej Rau, założyciel towarzystwa akcyjnego, czyli „Rau akcyjny" i wreszcie Rau administrator, czyli mówiąc językiem przemysłowym, „Rau—żerant." Z początku interesy towarzystwa idą pomyślnie, a więc „Rau akcyjny" chętnie wypłaca „Rauowi żerantowi" olbrzymią tantyemę, a Rau „sam w sobie" jeszcze chętniej pozwala korzystać Rauowi akcyjnemu z szerokiego kredytu. Lecz cóż się dzieje dalej... Rau „sam w sobie" dzięki osobistym wpływom otrzymuje dla Raua akcyjnego olbrzymi obstalunek na szyny stalowe. Interes ten przedstawia się jednak tak korzystnie, iż Rauowi „samemu w sobie" żal oddać cały ten smaczny kąsek Rauowi akcyjnemu; proponuje zatem założenie oddzielnej fabryki akcyjnej. Sporą ilość akcyj bierze dla siebie; 650 pozostawia Rauowi akcyjnemu, otrzymuje z nich jednak—jako Rau żerant, olbrzymią tantiemę, a jako Rau akcyjny trzecią część dochodów—a pozostało kilkaset akcyj oddaje fabryce w Ruhrort, i zakładom Starochowickim które także w dobrej części składają się z Raua. Tymczasem w następnym okresie obstalunki rządowe skłaniają się przeważnie ku fabryce stalowej; fabryka ta staje się zyskownym interesem, podczas gdy Rau akcyjny, który z winy Raua żeranta stracił znakomitego technicznego dyrektora w osobie inżeniera Leveque'a, zaczyna coraz bardziej chromać i Rau „sam w sobie" ma wszelkie powody być zadowolonym, iż środek jego ciężkości przeniósł się od Raua akcyjnego ku fabryce stalowej. Na tem nie koniec. Akcyonaryusze Raua akcyjnego żądają od Raua żeranta aby wyrzekł się tantyemy od zysków, które przynoszą mu posiadane przez towarzystwo akcye fabryki stalowej. Rau-żerant odpowiada na to: żałujemy ale nie możemy," gdyż w umowie nie określono wyraźnie, od jakich zysków administrator ma prawo do tantyemy—i proponuje natomiast rozdział owego jabłka niezgody, owych „stalowych" akcyj, pomiędzy większych akcyonaryuszów, tj. posiadających co najmniej trzy akcye. W taki to sposób ze szkodą mniejszych akcyonaryuszy Rau żerant pozbawił Raua akcyjnego najcenniejszej jego własności, i od tej chwili Rau „sam w sobie" i Rau-żerant tracą dla Raua akcyjnego wszelką sympatyę—Rau „sam w sobie" odmawia Rauowi akcyjnemu zgoła kredytu, a Rau-żerant kieruje jego interesami tak niedbale, iż powstaje ogólne mniemanie (p. Rau był nawet zmuszonym zbijać to mniemanie na zebraniu akcyjnem, lecz argumenty jego były bardzo słabe), że Rau „sam w sobie" pozbył się już dawno akcyj „akcyjnego Raua.

Wreszcie następuje katastrofa z Dąbrowskim mostem. Rau akcyjny nie ma czem płacić; Rau „sam w sobie," nie bacząc na honor firmy, nawet i w takiej chwili odmawia mu kredytu, a Rau żerant najspokojniej proponuje akcyonaryuszom, żeby Raua akcyjnego po prostu zlikwidować. Oburzeni akcyonaryusze daremnie wzywają: chociażby dla nazwiska swego ocal pan akcyjnego Raua i wnieś doń znowu cząstkę swych milionów; nieugięty Rau „sam w sobie" odpowiada: jestem Rau „sam w sobie" i Rau „sam dla siebie"— a losy waszego Raua akcyjnego nic mnie nie obchodzą.

Takie było położenie tej sprawy jeszcze przed miesiącem, dziś musi być cokolwiek inaczej; świadczy o tem sprawozdanie z nadzwyczajnego zgromadzenia akcyonaryuszów towarzystwa L. R. i L.

Pomijamy w tem sprawozdaniu deklamacye, jakoby akcyonaryusze zebrali się nie tyle w osobistym interesie, ile dla ocalenia bytu „tysiąca rodzin, których los z dalszem istnieniem towarzystwa jest związany," pomijamy podziękowanie dla drugiego „żeranta" Loewensteina—inaczej barona Lenval—Loewensteina, pomijamy nawet tyradę pana Raua na temat: „z natury jestem oszczędnym a interesy towarzystwa były mi zawsze drogie" — i przytoczymy tylko jeden, jedyny frazes:

„Ogólne zgromadzenie przez *jednomyślne powstanie* wyraża swe *głębokie* uznanie dla pana W. Raua za oddane przezeń usługi."

Więc Rau „sam w sobie" widocznie musiał przyrzec materyalne poparcie akcyjnemu Rauowi, jeśli ten po wszystkiem, co zaszło, tak się przed nim uniża. Lecz skąd ta zmiana? Rzecz bardziej niż prosta: Rau—żerant—jak wyjaśnia nr. 3 *Gazety losowań*—szepnął Rauowi samemu w sobie, że Rau akcyjny otrzymał zamówienie rządowe na 3 miliony rs.

Czy jednak mamy już pewność, że Rau „sam w sobie" stanowczo i bez żadnych zastrzeżeń przyrzekł ocalić nieszczęśliwego akcyjnego Raua? Bynajmniej; gdyż obecny na tem samem posiedzeniu p. Aleks. Goldstand imieniem całego składu przyszłej rady oświadczył i prosił o zapisanie do protokułu, że rada nie uchyla się od włożonego na nią ciężkiego obowiązku podniesienia zakładów do dawnej świetności, gdyby jednak w dopięciu celu napotkała *na nadzwyczajne niespodziewane przeszkody*, nie omieszka ponownie zwołać akcyonaryuszów, celem przedstawienia im stanu rzeczy i wyjednania stosownych uchwał!

Kwestya więc rozwiązaną jeszcze nie jest. Jak sobie nowy zarząd towarzystwa poczynać będzie—nie wiadomo. Byłoby tylko do życzenia, aby system oszczędności, o którym rozprawiano tyle na zebraniu, stosowanym był z góry a nie z dołu, aby nie uszczuplano skromnego budżetu tych tysiąca rodzin, „których los z istnieniem towarzystwa jest związany..." A teraz powiemy czytelnikom rzecz najciekawszą: p. Rau we wszystkich swych postaciach i wcieleniach działał najzupełniej *prawnie* z poglądami ogólnej etyki handlowej zgodnie, i to właśnie czyni ową wyrwaną przez *Gazetę losowań* kartkę wymowną.

Zygmunt H.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Aleksander Gostkowski, nauczyciel gimnazyum, sumienny i sympatyczny przewodnik młodzieży zmarł w Lublinie. Na mogiłę jego bliscy i dalecy wychowańcy liceum lubelskiego złożą żal serdeczny, w którym i my przyjmujemy nienajmniejszy udział.

Szkoły techniczne. Według rozporządzenia ministeryum komunikacyi, każda kolej żelazna, długości więcej niż 100 wiorst, obowiązana będzie swoim kosztem otwierać i utrzymywać szkołę techniczną, w której dzieci niezamożnych urzędników kolejowych pobierać będą specyalne wykształcenie.

Budowa zakładu wodociągowego wkrótce ukończoną zostanie, wodociągi zaś nowe działać zaczną z początkiem roku przyszłego.

Zapomogi. Na utrzymanie w rosyjskich zakładach naukowych uczniów, pochodzących z południowej Słowiańszczyzny, ministeryum spraw zagranicznych, niezależnie od innych, wyznaczyło na rok przyszły sumę rs. 22,290.

Budżet ministeryum spraw zagranicznych — w roku przyszłym zostanie powiększony o 330,000 rs. na wydatki nieprzewidziane.

Rzeki spławne, znajdujące się w granicach naszego kraju, mają długości 3,073 wiorst, a mianowicie Wisła 567 wiorst, Pilica 250 wiorst, Wieprz 175 wiorst, Warta 266 wiorst, Narew 285 wiorst, Bug 570 wiorst, Niemen 380 wiorst.

Zasiłki. Na utrzymanie komisyi emerytalnej w Królestwie polskiem wyznaczono 8,583 rs., na uzupełnienie kosztów utrzymania szkół elementarnych w gub. Wileńskiej, Grodzieńskiej, Mińskiej, Mohylowskiej, Witebskiej, Astrachańskiej i Archangielskiej, 20,000 rs., oraz dla Instytutu Maryjskiego Panien w Warszawie 44,522 rs.

P. Pichno, profesor uniwersytetu Kijowskiego i redaktor *Kijewlanina,* mianowany został członkiem rady kolejowej, skutkiem czego porzucił katedrę i redakcyę.

W odczytach na rzecz osad rolnych przyjmą udział: pani Marrené, pani Tomaszewicz-Dobrska, p. Dobrski, p. Jaksa Bykowski, p. Gawalewicz i p. Święcicki.

W Neapolu urodziło się dziecko z trzema nogami, oraz czterema oczami. Pastor Knapp, wezwany przez matkę do chrztu, odmówił udzielenia sakramentu, nie będąc pewnym, czy niemowlę ma jedną lub dwie dusze. Kwestyę ma rozwiązać miejscowy konsystorz. Uprzedzając konsystorz i opierając się na ogólnie przyjętym poglądzie, że każdej parze nóg ludzkich odpowiada jedna dusza, rozwiązujemy kwestyę w ten sposób, iż dziecko, o którem mowa, posiada nie jedną i nie dwie, lecz *półtory duszy.*

Na konkurs ogłoszony przez *Gazetę przemysłowo-rolniczą,* nadesłano ogółem 33 rozpraw, odpowiadających na pytanie: „Czego naszemu rzemieślnikowi potrzeba?“

Cukrownie tutejsze spodziewają się w roku bieżącym niepomyślnej pod względem pieniężnym kampanii—i wskutek tego niektórzy dyrektorowie rozesłali do swoich dostawców okólnik, proponujący im zniżenie ceny cukru.

Dla obejrzenia robót kanalizacyjnych w przyszłym tygodniu przyjeżdża kilku inżenierów i studentów z politechniki Zurichskiej. Delegacya ta wysłaną jest kosztem szkoły.

Projekt części kodeksu cywilnego dla Cesarstwa, a mianowicie dział zobowiązań, który opracowywał profesor Holewiński, jest już ukończony i obejmuje około 600 paragrafów, to jest blisko połowę mniej, niż Kodeks Napoleona.

Towarzystwo przemysłowe w Moskwie przygotowało projekt wprowadzenia osobnych ceł dla Królestwa polskiego, tj. podwyższenia ceł na materyały surowe, sprowadzane z zagranicy do fabryki Królestwa o tyle, o ile więcej kosztuje transport tych towarów do Moskwy, aby przez to uchylić przewagę, jaką mają fabryki położone bliżej granicy.

Telefon podmorski. Prowadzone obecnie próby z telefonem, mającym ułatwić rozmowę mieszkańców obu półkuli, wynalazku niewiadomego dotychczas elektryka, dają nader pomyślne rezultaty. Koszta przygotowawcze na apparaty i doświadczenia wyniosły 500,000 funtów. Zbudowany już został aparat, za pomocą którego prowadzono rozmowę na przestrzeni 2,200 mil. Odbywanie prób osłonione jest wielką tajemnicą, do której dopuszczone tylko niewielkie grono ludzi fachowych.

W Wiedniu występuje ku wielkiemu zgorszeniu kół czeskich znana w Warszawie panna Pospischil. Dawniej pisała się Pospiszilova i wprowadzała w zachwyt naszych czecholubów.

Zmarli. Jan Nisen, znany malarz belgijski.

— Albert Hopf, humorysta niemiecki i aktor. W 1849 r. występował w Warszawie.

— Władysław Jankowski, agronom.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Bezstronnemu świadkowi. Wywód pański jest kruchy, a zarzuty czynione zmarłemu bezzasadne. Posądzać człowieka, który zapisał społeczeństwu swój majątek, że uczynił to dlatego jedynie, ażeby „o nim mówiono,“ twierdzić, że skrzywdził „siostrzenicę,“ darowawszy jej „tylko 500 rs.“—to już taka „uczciwość.“ z którą nasza etyka nie ma żadnego punktu stycznego.

Wiel. w Warszawie. W kilku słowach charakteryzować ich „działalności“ nie możemy Od. dobry tłomacz i zręczny rymotwórca; Si. również, a przytem niezły krytyk; w stańczykowstwie zdolności jego powiędły. Co do kwestyonowanego ustępu bliższe poznanie źródeł przekonałoby Pana, że A. mogła podsuwać taki *zamiar.*

P. Karolowi Ł. Przeczucie pańskie, że takie pytanie może nam „się wydawać dziwnem“—było słusznem.

P. Jan Ek. Dlaczego wtedy „nie można było *myśleć* o tem?“ Mamy pewne powody mniemać, że właśnie „myślano.“

Kuryerowi warszawskiemu. A to co znowu? Panowie nas wzywacie, czy pani P. K., która nagle za waszemi plecami zniknęła? Chcemy bowiem wiedzieć, kogo mamy prosić o pożyczenie nam na dni kilka roczników *Kuryera,* np. z lat 1883 i 4, gdyż ich nie posiadamy. Przydałby się nam również komplet z grudnia 1882 r., w którym wskazalibyśmy numery z opisami: kosztownego welonu hrabianki, jej ślubu, a nawet koni na wesele sprowadzonych i przyjmujących liczne odwiedziny. Zbiór numerów z minionej zimy i wiosny, zawierających sprawozdania teatralno-tualetowe, może by nam także pani P. K. łaskawie nadesłała. Jeżeli zaś będziemy pozbawieni tej pomocy, musimy naturalnie poszukać w Warszawie „białego kruka“ a w nim złotych piórek.

OFIARY.

Dla biednych. Józef Lange, kop. 50.

Na wpis dla uczniów. Bernard z Koluszek, kop. 50, Glinka z Hołowaniewska, rs. 1 kop. 90.

Dla studentów warszawskiego uniwersytetu. Al. Jan rs. 25.

Dla studentek polek w petersburgu. Bolec. B. P. M. P. Z. studenci Instytutu agrom. z Puław rs. 4.

Dla pogorzelców Grodna. Raciborski z Jelowki, kop. 45.

Uwaga. Wszystkie pisma utyskują, że składki na opłatę wpisu niezamożnych uczniów w bieżącem półroczu przypłynęły nader skąpo. Fakt ten odbił się i w skarbonce *Prawdy,* która otrzymała zaledwie drobną cząstkę zwykłych na ten cel ofiar. Ponieważ siłami własnemi nie możemy zadośćuczynić wszystkim żądaniom, odwołujemy się więc o pomoc do tych abonentów, którym środki pozwalają wspierać uboga młodzież.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 11 Октября 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski